Dziś w numerze: ● Herbata z ... ręcznikiem ● Barykada ● Obywatele, kochajcie syrenki! ● Quo vadis awangardo? ● O filmach dobrze i źle ● Kim są właściciele z Las Vegas? ● Felietony ● Recenzje ● Polonica

odgłosy

Nr 37 (399)
18. IX. 1966 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX

Fot. WAF.

EDWARD HANISZEWSKI

Łodzianie na podniebnych szlakach

Ziemia Łódzka, a w szczególności miasto Łódź, znane są w kraju z tego, że włókniarze w nim wiodą prym. Ten najpotężniejszy w Polsce ośrodek tekstylnego przemysłu, ma w herbie miasta łódkę, choć moim skromnym zdaniem należałoby mu dodać (herbowi) i czółenko włókniarskie i... lotnicze śmigło. Nie wszyscy bowiem wiedzą, jak dużą rolę w rozwoju polskiego lotnictwa odegrało ich rodzinne miasto.

W pierwszych latach naszego stulecia, łodzianin Wojciech Woyna, syn leśniczego na terenach, gdzie obecnie leżą dzielnice Polesie i Zdrowie, jako dorastający młodzieniec czynił pierwsze próby lotnicze, skacząc z drzew przy pomocy skonstruowanych przez siebie skrzydeł i spadochronu. Bolesne niekiedy były to próby, kończyły się potłuczeniami, ale zapał do lotnictwa i niepospolite zdolności pozwoliły na zbudowanie wielu ciekawych i, co najważniejsze, dobrze latających modeli. Modelarstwo lotnicze stało się pasją Wojciecha Woyny, sam budował modele, stale je ulepszał i innych uczył. Na wystawie przemysłowej w roku 1909 w parku Helenowskim demonstrował swoje modele na stoisku i w locie, zadziwiając zwiedzających wystawę, tym na owe czasy nigdzie nie spotykanym widowiskiem. Przeniósł się potem do Warszawy gdzie został współpracownikiem znanego wówczas propagatora lotnictwa Deklera, wydawcy czasopisma „Lotnik i Automobilista". Prowadził tam pracownię modelarską, założył pierwszą w Polsce modelarnię lotniczą, w której wyszkolił pierwszych w naszym kraju modelarzy-instruktorów. Z jego inicjatywy, i przy niemałych nakładach finansowych, organizowane były wystawy i pokazy lotnicze w Warszawie. Po zakończeniu I wojny światowej Wojciech Woyna kontynuuje prace nad rozwojem lotnictwa w wolnej Polsce. Jest niezmordowanym propagatorem modelarstwa, szkoli instruktorów, organizuje wystawy, pokazy, wydaje podręczniki i sam uczestniczy w za

Dalszy ciąg na str. 4

KRZYSZTOF POGORZELEC

GŁÓD

Ze stanu Orisa w Indii dochodzą alarmujące wieści. PAP podaje: ludzie mrą z głodu na ulicach. Raport Światowej Organizacji Wyżywienia sucho stwierdza: więcej niż połowa ludności żyje na Dalekim Wschodzie, ale spożywa zaledwie 1/4 światowej produkcji żywności. 500 milionów ludzi formalnie głoduje, połowa cierpi niedożywienie.

A więc?

* * *

Właśnie — A WIEC?

— Światowa ilość żywności przypadająca na 1 mieszkańca globu, mimo że jest obecnie większa aniżeli bezpośrednio po wojnie, to jednak ciągle mniejsza, niż w roku 1938. Aby ta sytuacja nie uległa pogorszeniu, trzeba bezwzględnie do roku 1975 zwiększyć produkcję żywności na świecie **PRZYNAJMNIEJ** o 35 proc., a jeżeli, chcemy uzyskać niewielką choćby poprawę — nawet o **POŁOWĘ...**

Tak twierdzi świetnie poinformowany człowiek. Tak utrzymuje generalny dyrektor FAO — Światowej Organizacji Wyżywienia i Rolnictwa, dr B. R. Sen.

Tak jest w roku 1966.

Czy ludzkość musi głodować? Problem, który pasjonuje najwybitniejszych naukowców świata. Niedawno, przez pięć dni, toczył w Warszawie obrady II Międzynarodowy Kongres Nauki i Technologii Żywności. M. in. wygłoszono 700 referatów i opracowań naukowych, w których starano się odpowiedzieć na jedno pytanie: jak i czym nakarmić coraz gęściej zaludniony świat?

Tak jest, gdyż na świecie żyje około 3 miliardy ludzi; trzy miliardy gęb do wyżywienia.

Na początku „naszej" ery glob ziemski zamieszkiwało nie więcej jak 160 milionów ludzi. Teraz jest dokładnie 2,7 miliarda. W ciągu 34 lat, które nas czekają — „jeżeli nie przyjdzie kometa i machnie... ogonem" — a więc w roku 2000, będzie nas żyło na świecie okrągłe 6 miliardów.

W ciągu 37 lat niemal potroi się liczba mieszkańców Ziemi!

Złożą się na to bardzo różne przyczyny, wśród których niepoślednie miejsce zajmuje spadek tzw. stopy zgonów, a szczególnie zmniejszenie się umieralności niemowląt. Jak wielki krok naprzód zrobił współczesny świat w tej dziedzinie świadczy przykład podany przez niemieckiego ekonomistę w jego książce — jednej z największych sensacji wydawniczych roku 1966, opublikowanej w Hamburgu — zatytułowanej „Rok 2000 — ku czemu zmierza świat?". Przykład ten pochodzi z Anglii z lat 1665—1714. Na tronie zasiadała wtedy królowa Anna, podobno szczęśliwa żona, osoba otoczona najlepszą jak na owe czasy opieką lekarską i warunkami. Powiła 17 dzieci. Tylko jedno z nich przeżyło wiek niemowlęctwa. Zmarło mając lat 11.

Higiena, zdobycze nowoczesnej nauki, masowa oświata, poprawa warunków materialnego bytowania są i będą nadal motorami tego gwałtownego rozwoju ludzkości.

* * *

Dietetycy stwierdzają sucho: człowiek, by nie odczuwał głodu musi spożywać około 2.400 kalorii dziennie, w tym 70 gramów protein, z których przynajmniej 20 gramów powinno być pochodzenia zwierzęcego.

To jest teoria, a praktyka?

Powiedzieliśmy już coś na ten temat.

Tak, 500 milionów ludzi codziennie formalnie głoduje, połowa mieszkańców świata cierpi na chroniczne niedożywienie.

Daleki Wschód — 1,5 miliarda ludzi — deficyt artykułów żywnościowych sięga już nie dziesiątek lecz setek milionów ton. Ten niedobór jest szczególnie dotkliwy w produktach pochodzenia zwierzęcego — sięga aż 40 procent potrzeb, chociaż „święte" krowy błąkają się po ulicach New Delhi, a Indie — jeden z bardzo newralgicznych obszarów światowej „geografii głodu" — posiada, statystycznie biorąc, największą ilość zwierząt i bydła rzeźnego.

Geografia głodu.

Stara Europa i Ameryka — nie liczą się na jej mapach. Czarny kolor strachu przed głodem — został starty przez wysoko rozwinięty przemysł przetwórczy i nowoczesne rolnictwo.

Czarny kolor głodu:

Afryka — skromnie licząc, aktualna produkcja artykułów spożywczych, nie zaspokaja około 30 proc. potrzeb.

Bliski Wschód — deficyt żywności: 15 procent.

Ameryka Łacińska — mimo bogactwa przyrody, bilanse żywnościowe wskazują niedobór 10 proc.

Na atolach, pustyniach, pod ziemią wybuchają coraz to inne atomowe ładunki. Jadrowi buchalterzy zdołali obliczyć: w ciągu 21 lat, od roku 1945, na świecie dokonano łącznie 543 nuklearnych eksplozji, z czego USA — 382, ZSRR — 127, Wielka Brytania — 25, Francja — 6, Chińska Republika Ludowa — 3. Krzywa nuklearnej gorączki stale rośnie.

A ziemia, prawie bez zmian, rodzi co roku:

250 milionów ton ryżu,
235 milionów ton pszenicy,
215 milionów ton kukurydzy,
20 milionów ton żyta.

Mało. O wiele za mało, szczególnie tam gdzie na ziemskim globie żyje najwięcej

Dalszy ciąg na str. 3

ŹLE ŚWIATA

Gdyby przyznawano medale za najlepsze sparodiowanie wyborów — sajgoński dyktator, gen. Ky właśnie byłby uroczyście dekorowany. Jeszcze daleko przed tzw. wyborami nawet prasa — z przekonania czy nakazu — sympatyzująca z reżimem południowowietnamskim nie ukrywała, że będzie to po prostu wielki bluff. I tak dla przykładu „Christian Science Monitor" słusznie zapowiadał, że „większość wyborców oddawać będzie swój głos pod presją i kontrolą armii", a „Rheinischer Merkur" z góry uprzedzał swych czytelników, że te „obowiązkowe ćwiczenia z demokracji (!) nie będą wskaźnikiem realnego układu sił w Wietnamie Płd."

Całe przygotowania do tej farsy szyte były bowiem tak grubymi nićmi, że nikt nie mógł mieć wątpliwości, iż ta 117-osobowa „konstytuanta" wyłaniana jest w przenośni i dosłownie pod bagnetami. A więc krótko i węzłowato oświadczono, że każdy, kto przeciwstawia się gabinetowi Ky będzie uznany za „zdrajcę i pachołka komunistów", a kto bojkotuje wybory — zostanie ukarany więzieniem. Oczywiście — w tych warunkach o dopuszczeniu jakiejkolwiek opozycji nie mogło być mowy.

Cała ta komedia nie zasługiwałaby na odnotowanie, gdyby nie to, że daje próbkę, jak to sobie wyobraża „wolny Wietnam" Johnson i jego administracja. I taki to model propagują w Wietnamie Stany Zjednoczone!

Wyniki niedzielnych „wyborów" nie są jeszcze znane. W omawianych warunkach — nie jest to jednak najistotniejsze. Dodajmy więc tylko, że wyłonione Zgromadzenie ma za zadanie opracować w ciągu 6 miesięcy konstytucję.

Dochodzą głosy, iż dyktator Ky życzyłby sobie silnego rządu prezydenckiego, oczywiście ze swoją osobą na czele.

Interesujące — prawda?

W przyszłym tygodniu rozpoczyna swe obrady kolejna sesja Zgromadzenia Ogólnego NZ. Pierwszą niespodzianką ma być podobno powrót do ONZ Indonezji. Jeśli wierzyć doniesieniom agencji — nazajutrz po rozpoczęciu obrad prezydent Filipin — Marcos ma w przemówieniu na sesji zaprosić Indonezję do powrotu.

Przypomnijmy Czytelnikom, że przed trzema laty Indonezja na znak protestu przeciwko wyborowi Malajzji do Rady Bezpieczeństwa zrezygnowała z członkostwa ONZ. Teraz zamierza powrócić, a forma zaproszenia jej przez Marcosa ma „ratować twarz" rządu indonezyjskiego.

Jakie inne niespodzianki mogą się zdarzyć na XXI Sesji — trudno przewidzieć najprawdopodobniej najwięcej uwagi pochłaniać będzie sprawa sekretarza generalnego ONZ. Spekulacje na ten temat nie ustają. Część komentatorów, wyrażając najpewniej życzenia Waszyngtonu, twierdzi, że U Thant da się ubłagać, inni — że decyzji nie zmieni. Charakterystyczne, że ostatnio na łamach prasy zachodniej jako warunki ponownego kandydowania przez U Thanta wymienia się nie tylko zarysowanie perspektyw negocjacji w sprawie Wietnamu, lecz również: uregulowanie kryzysu finansowego ONZ, określenie zasad działania sił zbrojnych tej organizacji oraz przyjęcie do ONZ Chińskiej Republiki Ludowej.

Rozważając polityczne następstwa decyzji U Thanta nie można zapominać i o innych kłopotach. Otóż zwyczajowo już wraz z sekretarzem generalnym ustępuje 14 podsekretarzy stanu, a następnie dyrektorzy departamentów. Wszystko to może spowodować daleko idące zmiany w Sekretariacie Generalnym, który liczy prawie 9 tys. osób (z czego w Nowym Jorku zatrudnionych jest ponad 3.600 osób).

Jak się potoczą wypadki — wkrótce zobaczymy, a tymczasem przenieśmy się na europejskie „podwórko".

W Europie w dalszym ciągu trwa ożywiona dyplomacja.

W Polsce z oficjalną wizytą przebywał minister spraw zagranicznych Belgii — Pierre Harmel. W ogłoszonym wspólnym komunikacie obie strony potwierdzają konieczność pokojowego rozwiązania problemu wietnamskiego w oparciu o układy genewskie z 1954 roku oraz wiele uwagi poświęcają konsolidacji pokoju i zapewnieniu bezpieczeństwa na naszym kontynencie.

W komunikacie mowa jest o wymianie poglądów na temat częściowych kroków rozbrojeniowych, a przede wszystkim potrzebie zapobieżenia rozprzestrzenianiu broni jądrowej, zwłaszcza w Europie.

Znajduje się tam również stwierdzenie, że pozytywną rolę mogłoby odegrać zwołanie konferencji w sprawie bezpieczeństwa i współpracy krajów europejskich.

Uwagę zwraca zapowiedź systematycznych konsultacji polsko — belgijskich; włączając w to również spotkania ministrów spraw zagranicznych. Z komunikatu wynika, że konsultacje dotyczyć będą głównie problemów bezpieczeństwa europejskiego.

W toku rozmów w Warszawie przedyskutowano rozwój polsko — belgijskiej współpracy w dziedzinie gospodarczej, przemysłowej i naukowo-technicznej.

Wizyta min. Harmela jest czwartym w ostatnim okresie poważnym kontaktem naszego kraju z państwami Europy Zachodniej — po rozmowach w Warszawie ministrów Couve de Murville'a i Fanfaniego oraz po podróży min. Rapackiego do Szwecji.

W ostatnich dniach w Polsce przebywali także ministrowie handlu Danii i Kanady.

W. SŁAWSKI

Kronika tygodnia

■ Brytyjski premier Harold Wilson ostrzegł w przemówieniu wygłoszonym na posiedzeniu Kongresu Angielskich Związków Zawodowych TUC, że w obecnej sytuacji gospodarczej w świecie „każdy fałszywy krok może spowodować kryzys światowy podobny do kryzysu z lat trzydziestych. W takim wypadku Wielkiej Brytanii groziłoby bezrobocie w wysokości 2 milionów ludzi". Agencja Reutera pisze w związku z tą wypowiedzią, iż stanowiła ona wyzwanie rzucone pod adresem Związków Zawodowych: albo Związki Zawodowe zaakceptują rządowy plan zamrożenia płac i cen, albo też staną w obliczu masowego bezrobocia.

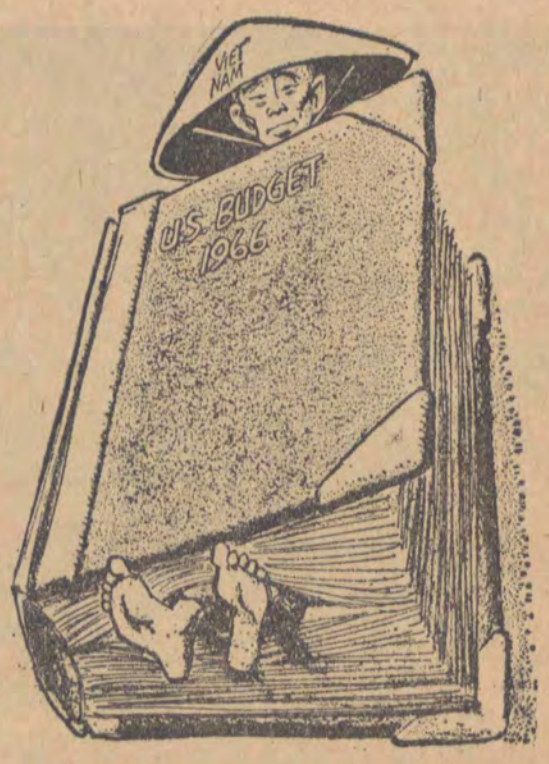

■ **Rzecznik prasowy Biura Sekretarza Generalnego ONZ podał, iż po opuszczeniu z dniem 3 listopada br. swojego urzędu U Thant otrzyma emeryturę w wysokości 13.750 dolarów.**

■ Zachodnioniemieccy językoznawcy, którzy ostatnio zainteresowali się sformułowaniami projektów ustaw wnoszonych bądź już uchwalonych przez Bundestag, orzekli, że są one niezrozumiałe nie tylko dla szerszego społeczeństwa, lecz także dla deputowanych, którzy ustawy te uchwalają. DPA przytacza dla ilustracji „fragment" ustawy o gospodarce wodnej w mieszkaniach prywatnych" stwierdzając, iż nikt do dzisiaj nie wie, co autorzy tego aktu prawnego mieli na myśli, gdy formułując przepisy na wypadek awarii wodociągów, pisali o „bieżącej wodzie stojącej w łóżkach".

■ **Moskiewski dziennik „Izwiestia" doniósł, iż izraelski dyplomata, trzeci sekretarz ambasady, trudnił się rozpowszechnianiem w Związku Radzieckim literatury syjonistycznej, znaczków i kart pocztowych pochodzących z Izraela, a podczas trwania międzynarodowej wystawy rolniczej w Moskwie, w pawilonie izraelskim kolportowany był pamflet i inne druki.**

■ Szwajcarski tygodnik „Weltwoche" pisze, iż w Syjamie, uważanym do niedawna przez Zachód za dobrze zorganizowane państwo, zaczyna nasilać się ruch rewolucyjny. Rząd Syjamu domaga się od swych protektorów — Amerykanów nie tylko większej ilości broni i „doradców", ale i bezpośredniego wkroczenia wojsk amerykańskich do działań wojennych przeciwko oddziałom partyzanckim operującym na południowych i północnych rubieżach kraju.

■ **Były premier brytyjski z ramienia partii konserwatywnej lord Avon (Eden) poparł propozycje generała de Gaulle'a zmierzające do „politycznego rozwiązania konfliktu wietnamskiego". Sądzę, że generał ma rację, całkowitą rację — rzekł lord Avon.**

■ Geologowie amerykańscy odkryli ogromne złoża wysokowartościowej rudy żelaznej w dnie Atlantyku w pobliżu wybrzeży południowych Stanów Ameryki, Florydy, Georgii, Południowej Karoliny. Zapasy te, stwierdzają uczeni, są nieograniczone. Głębokość oceanu w tych miejscach wynosi 500 do 1000 m.

■ Aktorka brytyjska Vivien Leigh zaproszona została do udziału w kreowaniu jednej z głównych ról w radzieckim filmie o życiu Czajkowskiego. Przewiduje się, że zdjęcia do filmu zaczną się w 1967 roku w Moskwie. Attache kulturalny radzieckiej ambasady w Londynie Sofinskij powiedział: „Zaprosiliśmy panią Leigh do kreowania roli Madame von Meck tajemniczej kobiety w życiu Czajkowskiego, która była w nim zakochana, lecz nigdy go nie spotkała. Uważamy, że pani Leigh będzie najodpowiedniejszą odtwórczynią tej roli".

■ Dziennik „New York Times" podaje, powołując się na poinformowane koła, iż rząd boński zabiega w NATO o zniesienie embargo na sprzedaż rur stalowych do Związku Radzieckiego o przekroju powyżej 19 cali.

■ Dzienniki brytyjskie podały informację o zakupieniu przez Rumunię brytyjskiego doświadczalnego reaktora atomowego za sumę 100 tysięcy funtów. Zakupiony reaktor jest stosunkowo niewielki i ma charakter eksperymentalny. Stwierdza się jednak, że transakcja ta „powinna wzmocnić brytyjskie szanse na zdobycie zamówienia na przemysłową elektrownię nuklearną dla Rumunii".

■ W stolicy Norwegii Oslo zastrajkowali aktorzy. Spośród 9 teatrów zostało zamkniętych. Aktorzy domagają się wyższych gaż i polepszenia warunków pracy. Aktorzy teatrów, które nie objęte zostały strajkiem przeznaczają całe zarobki na rzecz funduszu strajkowego, w zamian spełnione żądania strajkujących aktorów mają w równej mierze objąć zespoły nie biorące udziału w walce strajkowej.

■ **Korespondenci prasowi donoszą z Pekinu, iż „rewolucyjny bunt młodzieży chińskiej przeciwko starym obyczajom i kapitalizmowi" ostatecznie wygasa. W Pekinie, a również w większych miastach życie powróciło do normalnego rytmu. W stolicy kraju publikuje się plakaty i rozpowszechnia ulotki, z których wynika, że wszyscy czerwonogwardziści z prowincji mieli opuścić miasto do końca pierwszej dekady bm. W przyszłości będą mogli przybywać do stolicy jedynie za specjalnymi zezwoleniami i to w większości na koszt własny.**

■ Znany specjalista amerykański z dziedziny stosunków międzynarodowych, prof. uniwersytetu w Chicago, Morgenthau określił politykę prezydenta Johnsona w Wietnamie, jako wątpliwą moralnie, beznadziejną z militarnego punktu widzenia i bezcelową politycznie.

■ **Szerokim echem w świecie odbiła się wiadomość o śmierci, poniesionej wskutek zamachu, szefa południowoafrykańskiego reżimu rasistowskiego Verwoerda. Zachodnie publikacje prasowe na ten temat cechują się dużą rezerwą, komentarze zaś niemal we wszystkich dziennikach wyrażają potępienie politycznej działalności premiera RPA. Stolice krajów afrykańskich zachowują na ogół milczenie, uchylając się od komentowania tego zdarzenia. Jeden z funkcjonariuszy rządu Zambii oświadczył tylko korespondentowi AP: „Chwała Bogu, że morderca nie był Afrykańczyk ani kolorowy, ponieważ w przeciwnym wypadku spowodowałoby to wybuch, który byłby dziecinną igraszką w porównaniu z apartheidem".**

■ W 1965 roku ukończyło studia w Związku Radzieckim 170 tysięcy inżynierów, tj. o 34 tysiące więcej niż w 1964 roku. W latach 1961-65 wyższe wykształcenie w ZSRR zdobyło 1.732 tysiące osób. W ciągu ostatniego 5-lecia największy wzrost liczby studentów zanotowano w takich dziedzinach, jak technika elektronowa, budowa przyrządów elektrycznych i automatyka (wzrost przeszło trzykrotny). Podaje się, iż w ostatnim roku bieżącej pięciolatki, tj. w roku 1970 na wyższych uczelniach radzieckich studiować będzie 5 milionów osób.

■ W Rumunii przebywał z wizytą oficjalną minister gospodarki NRF Schmuecker, który po powrocie do Bonn wyraził przekonanie, że „być może jeszcze w tym roku nawiązane zostaną stosunki dyplomatyczne między NRF i Rumunią".

Marzenia gen. Cao Ky

PIĘKNA SZTUKA PISANIA

W roku 1753 uczony i pisarz francuski, Georges-Louis Buffon, mający wówczas lat 46, został przyjęty na członka Akademii Nauk. W mowie, jaką z tej okazji wygłosił, znalazło się zdanie, które zrobiło karierę światową i do dziś bywa cytowane, choć cytujący nie zawsze zdają sobie sprawę, kto jest jego autorem. To słynne zdanie brzmi: „Le style c'est l'homme" (Styl to człowiek). Od tego czasu na temat stylu i pięknej sztuki pisania powiedziano wiele. Powstałaby z tych wypowiedzi cała biblioteka. A przecież nie przestajemy się i w naszych czasach interesować, i to mocno, podobnymi problemami. Zwłaszcza Francuzi celują w błyskotliwym ujmowaniu tych zagadnień, dzięki czemu nie bez racji mówi się o pięknym, wykształconym stylu literatury francuskiej. Warto tutaj zacytować słowa Ernesta Hello, dziś pisarza raczej zapomnianego, ale w swoim czasie, tzn. w drugiej połowie ubiegłego wieku, znanego z licznych dzieł i wystąpień (przez jakiś okres zajmował się on adwokaturą). Otóż Ernest Hello napisał: „Być pisarzem, być nieśmiertelnym, sławnym, powiedzmy — zbawionym na wieki, to nic innego, tylko mieć styl, mieć język własny". Autor tych słów nie ostał się ze swoim dziełem, co nie znaczy, by nie miał racji. Owszem, miał ją i nikt mu jej nie odbierze.

Chcę tutaj pomówić o innym pisarzu francuskim, którym zaczyna się pośmiertnie interesować Europa, a który sprawom stylu i pięknej sztuce pisania poświęcił wiele uwagi i czasu. Mam na myśli Paula Leautaud, autora 19 tomów „Journal litteraire". Pierwszy zapis w tych dziennikach literackich nosi datę 3 listopada 1893, ostatni — 17 lutego 1956 roku, a więc zaledwie na tydzień przed śmiercią Leautaud, który zmarł w Paryżu w wieku lat 84. Był to wielki dziwak i oryginał, nazywano go rakarzem, paryskim ciochardem, ponieważ nie dbał o zewnętrzne pozory, ubierał się byle jak, nie należał do żadnej kliki i znajdował się poza wszelkimi układami. Gdy szedł ulicą, nikt nie dopatrywał się w nim pisarza, tak prowokacyjnie zaniedbany miał wygląd. W młodości „popełnił" jakąś powieść i jakiś tom wierszy, do których się potem przyznawał niechętnie. Natomiast cenił sobie pisywane recenzje teatralne i owe „dzienniki literackie", które ukazywały się w Paryżu w latach 1954—1964. Pomyśleć tylko: dziewiętnaście tomów zapisków, obejmujących w sumie osiemset stron druku!

W dziennikach pozostawił wiele zapisków na temat stylu. Te jego uwagi interesują mnie najbardziej. W r. 1931 Leautaud notuje: „Można przyjąć jako zasadę ogólną: nie ma takiego zdania, w którym na dwadzieścia słów nie dałoby się skreślić pięciu. Lecz jeśli mówię: pięciu, to jestem jeszcze bardzo skromny". I zaraz potem dodaje: „Mój system, który — jak sądzę — jest słuszny: jedno zdanie dla wyrażenia jednej myśli. W ten sposób unika się przeładowania i gadulstwa. Tak zwana melodia zdania jest ostatnim niedołęstwem". Oczywiście nie wszyscy podzielali jego poglądy. Bronił się w sposób następujący: „Myślę, że ludzie, którzy nie mają własnego stylu, nie zauważą go również u innych". Powiedziałem już wyżej, że Leautaud bardzo sobie cenił swoją pracę recenzenta teatralnego. W r. 1937 wyznaje: „Gdzież się podziały te czasy, gdy — najczęściej sam, uskrzydlony jak młodzieniec, po kolacji spożytej w małej restauracji na rue Saint-Sulpice — szedłem do teatru i równie uskrzydlony wracałem, mając w głowie gotową recenzję? Dzisiaj pisałbym dokładnie tak samo jak wtedy. Umysłowo w ogóle się nie zestarzałem. W istocie moim przeznaczeniem było: pisać jedynie takie ulotne rzeczy".

A jednak te ulotne rzeczy czyta się z zainteresowaniem. Mało. Czyta się je niekiedy z zachwytem właśnie dla ich stylu, zmysłu spostrzegawczości, ostrości sądu i dowcipu.

W jednym z końcowych tomów Leautaud zauważył: „Tylko ta literatura się liczy, która opiera się na obserwacji i studiowaniu życia ludzkiego". Dowiódł tej prawdy swoim dziełem tzn. dziewiętnastoma tomami „Dziennika literackiego". Wniosek: zrobić jednotomowy wybór i wydać po polsku. Włosi i Niemcy zrobili to już u siebie. Kolejny wybór przygotowują Anglicy.

Jan Koprowski

GŁÓD

Dalszy ciąg ze str. 1

naszego gatunku: India — około 60 milionów ludzi je ryż lub zboże zaledwie co drugi dzień. Malajzia — by złagodzić klęskę głodu, 35 proc. swoich wydatków importowanych przeznacza na zakup żywności. Indonezja — co roku brakuje 1 milion ton ryżu. Mało. Pogłębia się różnica na niekorzyść głodnych: w ciągu ostatnich dziesięciu lat spożycie zboża na świecie wzrosło o ponad 65 milionów ton. Z tej ilości, aż 45 milionów ton przypadło na kraje o wysokim poziomie rozwoju ekonomicznego i standardzie życiowym, w których mieszkało niespełna 650 milionów ludzi. Na „resztę" — czyli 3/4 mieszkańców globu wypadło 20 milionów ton owej nadwyżki. Co to znaczyło w przeliczeniu na menu przeciętnego mieszkańca tych dwóch różnych rejonów świata? Anglik spożywa codziennie 3.290 kalorii. Pakistańczyk — niespełna 1.800. Dostatek i głód.

Jak odżywiamy się w Polsce? Różnie o tym mówią. W każdym razie statystycy twierdzą, że: wartość dziennego pożywienia Polaka wynosi przeciętnie 3.200 kalorii. Dla porównania — ten sam wskaźnik dla Francji — 3.000, NRF — 2.900. Dietetycy utrzymują natomiast, że wprawdzie odżywiamy się dostatecznie, niemniej warto by pomyśleć o urozmaiceniu struktury „menu".

* * *

Co będzie dalej?

Niektórzy mówią: nie może być inaczej. Niewiele w gruncie rzeczy zmieniło się w menu człowieka od epoki kamienia łupanego. Dawniej zboże mielono na płytach, dzieżach, w moździerzach, żarnach, potem człowieka zastąpił w tej pracy wiatr, woda, para, elektryczność. Placek stał się chlebem. Surowiec pozostał ten sam. Pozostał też ciągle nierozwiązany problem.

A przecież: przypomnijmy — w roku 2000, za 34 lata, będzie nas już nie 3 lecz 6 miliardów.

A więc?

Czy staruszka ziemia wyżywić zdoła nowe miliardy jeżeli już dziś dwie trzecie ludności cierpi głód?

Wielu temu zaprzecza. Znana teoria Malthusa żongluje widmem powszechnego głodu i niedostatku, wynosząc na piedestał wszelkie środki zagłady, w których widzi skuteczną tamę przed powszechnym głodem i nadmiernym liczbowym rozwojem ludzkości.

Najnowsze i bardziej rzetelne badania obalają te pesymistyczne prognozy. Przede wszystkim można skutecznie przeciwdziałać temu widmu powszechnego głodu poprzez znaczne zwiększenie obszarów obecnie uprawianych. W tej chwili tylko jedna dziesiąta część lądu stałego globu zajmują grunty orne, sady i plantacje oraz inne tereny wykorzystywane przez rolnictwo. Samym tylko kosztem pastwisk oraz łąk można przysporzyć rolnictwu światowemu kilkaset milionów hektarów. W grę wchodzą także obszary określane przez Światową Organizację do Spraw Wyżywienia jako „tereny" nie wykorzystywane, a nadające się dla rolnictwa, dla celów produkcyjnych.

Największe jednak rezerwy kryją się w obszarach dziewiczych lasów oraz dżungli. Zajmują one na świecie blisko 4 miliardy hektarów. Że człowiek może sięgnąć po nie, świadczy przykład zaczerpnięty z Azji. Rząd Republiki Indonezji powiększył na Jawie w ciągu niewielu lat obszary zasiane ryżem — podstawowym produktem żywnościowym ludów Azji — o ponad 1/3, przy czym dawniej pleniła się tam dżungla. Takie same szanse dają mieszkańcom tego kraju Wyspy Borneo i Sumatra, bardzo rzadko zaludnione. Podobnie wielkie rezerwy żywnościowe kryją się w dziewiczych stepach i puszczach Ameryki Południowej i Australii. Człowiek powinien po nie sięgnąć i musi po nie sięgnąć, jeżeli nie chce być głodny.

Ale nie tylko w obszarach obecnie nie wykorzystywanych przez rolnictwo dla celów produkcyjnych kryją się gigantyczne zasoby żywnościowe. Aż się wierzyć nie chce, że na 350 milionów istniejących na świecie gospodarstw rolnych, około 250 milionów posługuje się przy uprawie jedynie najprymitywniejszymi narzędziami — motyką, drewnianym radłem takim samym pługiem. Prof. Fritz Baade w swojej książce dodaje: **„Narzędzia rolnicze używane jeszcze obecnie na olbrzymich obszarach Azji i Ameryki Południowej niewiele się różnią od pługów i innych narzędzi rolniczych, które znamy z prehistorycznych rysunków skalnych pochodzenia egipskiego i babilońskiego".**

Ile czego zjadamy? Artykułów zbożowych — 140 kg rocznie „na głowę", ziemniaków — aż 217 kg, tzn. aż cztery razy więcej aniżeli w ojczyźnie ziemniaka — USA! Spożycie innych artykułów: mięsa — 49 kg, mleka — 8 kg, tłuszczu i 9 kg protein wypijamy w jego postaci, cukru — 32 kg, do tego dochodzi 157 jaj, 5 kg ryb i bardzo mało jarzyn. Wszystko — licząc na 1 statystycznego Polaka.

Ogromne możliwości dla człowieka w jego walce o zwiększenie środków spożywczych kryją się w nowoczesnym przemyśle, który może pośpieszyć z pomocą rolnictwu. Tak mówiąc mamy przede wszystkim na myśli wydanie bardziej zdecydowanej walki wszelkiego rodzaju szkodnikom, które — jak np. szarańcza, stanowią prawdziwą plagę dla wielu rolniczych obszarów świata.

Współczesne rolnictwo w minimalnym stopniu wykorzystuje również jeszcze i inne naturalne bogactwo przyrody, które może pomnożyć wielokrotnie zbiory płodów rolnych — wodę. Jedna z największych rzek Afryki — Nil — jest tylko w minimalnym stopniu wykorzystywana, a toczy swoje wody przez obszary albo na pół pustynne, lub też wśród piasków pustyni Sahary. Podobnie jest z takimi rzekami jak Eufrat, Tygrys, Ganges czy Indus, które przez ludzkość są wykorzystywane również w minimalnym tylko stopniu. Najbliższe dziesięciolecie powinno przynieść jednak zdecydowaną odmianę w tej dziedzinie. Jak twierdzi niemiecki ekonomista, opierając się na wieloletnich planach inwestycyjnych Związku Radzieckiego oraz Chińskiej Republiki Ludowej, w tych właśnie krajach rozpoczęto wielkie przygotowania **do pełnego wykorzystania zasobów wodnych dla powiększenia produkcji żywności na świecie.** Tak np. w Związku Radzieckim rozważana jest realizacja wielkiego projektu, w myśl którego w Syberii powstałoby wielkie wewnętrzne morze. Projekt ten wychodzi z założenia, że wielkie rzeki syberyjskie — Ob i Jenisej toczą swoje wody bezużytecznie do Oceanu Lodowatego, a można by je wykorzystać dla nawodnienia południowych pustynnych obszarów Związku Radzieckiego zwanych Głodnym Stepem. Podobne wysiłki czyni Chińska Republika Ludowa, która zamierza wykorzystać swoje ogromne rzeki, a szczególnie Jang-Tse i Huang-Ho. Że nie są to tylko teoretyczne projekty, świadczą wyniki osiągnięte przez Chińczyków w nawadnianiu pustynnych dotąd obszarów. Na przestrzeni lat 1952 do 1960 wzrosły one z 21 mln. hektarów do 56 mln. hektarów.

Prawdziwym jednak skarbcem żywnościowym ludzkości są oceany. Prawda jest, że współczesny człowiek tylko w minimalnym procencie wykorzystuje nieprzebrane zasoby ryb a połowy skupiają się w tej chwili głównie na półkuli północnej. Wielkie obszary wokół Afryki w ogóle nie są wykorzystywane. To samo ma miejsce z południowymi połaciami mórz oblewających kontynent azjatycki. A przecież ciepłe tamtejsze wody są doskonałymi basenami dla rozwoju wszystkich gatunków ryb jadalnych przez człowieka. Zresztą, rybołówstwo nie jest jedyną drogą do uzyskania przez człowieka dodatkowych mas środków żywnościowych. Już od dawna amerykańskie uniwersytety i instytuty naukowe prowadzą doświadczenia nad „przemysłową" hodowlą różnych gatunków wodorostów — alg. Jeden z gatunków alg — chlorella — może być niezwykle bogatym źródłem dla produkcji protein oraz tłuszczów, bijących na głowę takie tradycyjne uprawy „tłuszczowe" jak fasola sojowa oraz orzech ziemny. Z jednego hektara algi można uzyskać około 6 ton tłuszczu gdy np. z uprawy 1 hektara orzecha ziemnego tylko 0,350 ton tłuszczu.

Jak wygląda menu w innych krajach? Porównajmy: np. w Anglii, każdy z jej mieszkańców spożywa rocznie 75 kg mięsa, jeszcze mniej zjadają go Czesi, Niemcy, Austriacy i Duńczycy. Mleka i jego przetworów zjadają od nas znacznie więcej Duńczycy, Szwajcarzy, Szwedzi. Cukru — po 48 kg wypada na każdego Anglika, Duńczyka, Amerykanina, Czecha. Ryby: więcej zjada się ich rocznie w NRD, Grecji, Anglii, Czechosłowacji, odpowiednio: 13, 10, 9, 8 kg.

KRZYSZTOF POGORZELEC

List z powiatu

WIELUŃ WE WRZEŚNIU

...wydał mi się piękny. Używam tego obowiązującego przecież określenia nie w znaczeniu okolicznościowym, zdawkowym. Istotnie — to miasteczko, które pamiętam jako powojenne, okropne, pełne szczurów rumowisko, ta dziura zabita deskami, do której każdy niegdyś wyjazd służbowy był wielką przykrością — dziś zaskakuje nas swoją urodą. Rozkwitła mu stara architektura (mimo bolesnej i bezsensownej straty jaką było zawalenie się zabytkowej wieży ratuszowej) bogato nad podziw obrodziła nowa: zaraz u wjazdu do centrum kontrastuje i zarazem harmonizuje ona z odnawianym gotykiem. I tyle tu zieleni, wypielęgnowanej, wychuchanej: te parki z wodotryskami, te klomby z pysznymi kwietnikami: jednym słowem bardzo miasteczko wypiękniało i ta rzucająca się w oczy nowa, młoda uroda od razu narzuca szacunek dla gospodarzy szacownego grodu. A nie tak to dawniej bywało: pamiętamy przecież jaką fatalną prasę miał niegdyś Wieluń, jak rojno w nim było od kantów i afer rzeczywistych lub tylko wymyślonych przez stołecznych reporterów. Pamiętamy ponurą atmosferę obskurnych knajp, rozkład Domu Kultury, wzajemne nienawiści i oszczerstwa. Tak było.

A teraz — inaczej. Wrzesień jest w tym roku pogodny, w słońcu wygrzewa się widoczny dostatek miasteczka. Na nowoczesnej płycie rynkowej zebrał się tłum by wysłuchać iluś tam zespołów amatorskich: przeważnie to młodzież, i ci na estradzie, i ci widzowie. Niczym nie różni się ta młodzież od łódzkiej, warszawskiej, gdańskiej: ma taką samą obyczajowość, tak samo wygląda. Nie ma więc chyba już prowincji z jej dawnymi kompleksami. Jest natomiast miasteczko pyszniące się swą krasą i historią.

A na dożynkach w parku, na stadionie i na wystawie rolniczej — jeszcze i pysznienie się plonami, i duma z przekroczenia granicy 20 q z ha. Laikowi te liczby niewiele mówią: więcej od nich powiedziała nam rzucająca się w oczy zamożność chłopstwa, ich dorodne konie, ta ciżba motocykli, i widziany po drodze rozmach budownictwa wiejskiego, który wieluńską, tak niegdyś zacofaną wieś już — i to na naszych oczach — przeistacza.

Gorzej natomiast z wieluńskim rzemiosłem: Wystawa w Domu Rzemieślnika (gmachu bardzo zresztą ładnym, zbudowanym z funduszy społecznych) zgromadziła eksponaty w jednej ledwie salce: parę cebrów, trochę brzydkich mebli, jakieś kowalskie prymitywne odkuwki i kafle do pieców, ot i wszystko. A możliwości rzemiosła o starych tradycjach są na pewno większe. Więc jeszcze jeden dowód, że łatwiej nam idzie z wielkimi inwestycjami, z wielkim budownictwem — niż z uruchomieniem drobnej wytwórczości. Wszędzie tak w Polsce — nie tylko w Wieluniu.

„Nasze dni, Dni Wielunia". Działacze miejscowi mają wypieki na twarzach. Emocjonują się wszyscy. Starsi wieluniacy są trochę nieufni: że takie uroczystości, ile same dekoracje musiały kosztować! Młodzi ze snobistycznym przekąsem — że niby w Warszawie to dopiero bywają uroczystości! Ale wszyscy są zadowoleni, że Wieluń nagle tak awansował. Zjeżdża tu wicepremier, wiceminister i władze całego województwa. Gorączkowe przygotowania i trema sprawiły, że może pewne fragmenty uroczystości wypadły zbyt sztywno — ale połóżmy to na karb właśnie tej tremy. Przyznała mi się do niej pewna nauczycielka „Na Juwenalia dziewczyny mi poubierały dosyć frywolne stroje. Jak pan myśli, czy to się władzom nie wyda zbyt śmiałe, czy to się spodoba?" Stroje i stroiki były zabawne. Nie wiem czy się spodobały władzom. Wiem natomiast, że Wieluń w swoich wrześniowych dniach wszystkim się podobał.

W. BIL.

LISTY I REDAKCJI

SZANOWNA REDAKCJO!

Wróciłem właśnie z Widawy. Nie zawsze na czas dociera tam prasa. Odrabiając zaległości przeczytałem „Odgłosy" z 4 września nr 35 (397). Znalazłem w nich „Dwa raporty z pogorzeliska" panów Andrzeja Makowieckiego i Andrzeja Brychta. Widawę znam i znam jej ludzi już 21 lat. Może dlatego właśnie te dwa „raporty" wzbudziły we mnie taki niesmak. Myślę, że wygodna literacka forma tych raportów to między innymi wynik nieznajomości rzeczy. Pisząc raport w rzeczywistym tego słowa znaczeniu, trzeba chyba przedtem w miarę dokładnie zbadać jego przedmiot. Publikując na łamach prasy opis jakichś faktów czy wydarzeń, ma ich autor w ręku silną broń, jaką jest możność urobienia opinii publicznej o tych faktach czy wydarzeniach i dlatego powinien rozmyślnie z niej korzystać. Obraz pożaru w Widawie i widawskich ludzi został od początku do końca wypaczony. Uważałem za swój obowiązek zareagować na to, gdyż ludziom tym w większości dzieje się krzywda. Czy autorzy byli na miejscu pożaru w jego początkowej fazie? Czy w myśl ustawy sejmowej zakasali rękawy swoich nylonowych koszul po kilkaset złotych, których tak żałują chłopu? Chyba nie. Opierają się więc na relacji, czyjej, nie wiem. Czy panowie autorzy wiedzą co znaczy pożar stodół wypełnionych zbożem w gorące sierpniowe południe? W ciągu minuty taka stodoła zamienia się w straszliwą pochodnię miotającą na wszystkie strony płomienie. Na wsi, budynku, który pali się, tak jak ta stodoła, nie ratuje się już. Zabezpiecza się tylko okoliczne budynki. Siedząc na dachu domu czy stodoły gasi się lecące wiechcie płonącej słomy, które upadną na dach, aby nie dopuścić do rozprzestrzeniania się ognia. Taka obrona została zorganizowana za nim jeszcze straż pożarna pojawiła się na miejscu. Ratować tego co zagarnął już silny ogień, nie dało się, ani nie było sensu ratować. Dlaczego autor szydzi z ludzi, którzy zamiast sensownie ratować dobytek, łapali co popadło, co wydało się cenne. Po prostu za chwilę mogli zginąć pod walącym się dachem. Na terenie objętym pożarem wybuchły dwie beczki ze smołą, co jeszcze pogorszyło sprawę. Wracając do akcji ratunkowej, to dzięki ofiarnej obronie Michała Kubiaka, ogień zatrzymał się na jego zabudowaniach, chociaż wypalił w jego stodole dziurę o średnicy 2 metrów.

Czy autorzy widzieli poparzenia ludzi, którzy brali udział w akcji ratunkowej? Faktem jest, że dużo było gapiów. Byli to jednak ludzie z okolicznych wiosek, zupełnie uczuciowo ani materialnie niezaangażowani w widawską tragedię.

Przecież ich nikt nie będzie wytykał palcem na ulicy widawskiej, że to ten, co nie pomagał sąsiadowi, bo oni przyjeżdżają tu tylko na targ czy na odpust św. Rocha. Po co oni będą pomagać, kiedy im nikt nie pomoże. Zamknięte błędne koło. Taka jest, niestety, jeszcze ich mentalność. A może by tak Panowie Redaktorzy zamiast zaglądać w rozporki (niedopięte) dobrze skrojonych chłopskich garniturów, wyruszyli na wieś z akcją uświadamiającą chłopów o ich obywatelskich obowiązkach. Komu panowie Redaktorzy chcą przekazać inicjatywę takich akcji, na kogo zrzucić ciężar odpowiedzialności za poziom obywatelskiej kultury wsi.

Wracając do artykułu. Cóż to za zwrot np. nazywający poświęcenie ludzi dobrej woli z Ochotniczej Straży Pożarnej — „sportem, który z zamiłowaniem uprawiają". Ci ludzie na dźwięk syreny alarmowej rzucają wszystko, biegną by nieść ludziom bezinteresowną pomoc. Wracają późno do domów, zmordowani i brudni. Wydzierają ze swych pracowitych dni godziny, czasem całe dnie. Na drugi dzień wstaną wcześnie rano, by stanąć za pługiem i nadrobić godziny poświęcone ludziom. Straszny to sport, panowie.

Można by się jeszcze pogodzić z wypaczeniem obrazu pożaru przez ludzi, którzy nie byli jego bezpośrednimi świadkami. Skąd się bierze jednak, Szanowna Redakcjo ta nienawiść do wsi i do chłopa, która rzuca się w oczy przy czytaniu artykułu. Dlaczego Panowie Autorzy tak bardzo chcą zdegradować Widawę do rangi wiochy, w której wioda raj „kraczydła od nieszczęść" i chamy o grubych paluchach i zapitych mordach. Widawa to już nie wiocha. To osada będąca zawsze na wojewódzkim marginesie mimo ciekawej historycznej przeszłości, o której zresztą niedawno „Odgłosy" nas powiadomiły, rozwija się jakoś. Z relacji autorów czytelnikowi ukazuje się obraz wiochy z domami krytymi strzechą, gdzie zauważa się ze zdziwieniem kilkanaście murowanych domów. Gdzie oni to widzieli? W Widawie co najmniej 70 proc. budynków mieszkalnych to domy murowane, kryte papą. Strzechy mają jedynie stodoły i nieliczne już domy. Widawa ma duży ośrodek weterynaryjny, Dom Kultury, nowoczesny ośrodek maszynowy i zakład przemysłowy. Gdyby dano jej jeszcze szkołę średnią, miałaby wszelkie szanse żywego rozwoju, bo powstrzymałoby to częściowo chociaż, odpływ młodzieży do miasta.

Z poważaniem,
Wasz czytelnik
WOJCIECH HOLCGREBER

W. SŁAWSKI

HERBATA Z „RĘCZNIKIEM

Rosjanie mówią: najlepszy „czaj z pałacieńcem". A więc najpierw parowa łaźnia, potem cztery, sześć szklanek herbaty z bulgocącego samowara i oczywiście ręcznik. W miarę, jak opróżnia się samowar — ręcznik staje się coraz wilgotniejszy aż wreszcie przestaje zbierać cieknące po twarzy, karku i piersiach strużki potu.

Ale przecież nie tylko w postaci „z ręcznikiem" herbata znajduje swych najgorętszych zwolenników. Z samowara czy czajnika, czarna czy zielona, słodka czy gorzka, z cytryną, rumem czy śmietanką — pita jest w świecie w ogromnych ilościach. Statystyka podaje, że spożywa się jej rocznie 1.030 tys. ton, a więc na poziomie kakao, chociaż czterokrotnie mniej niż kawy. Rzecz przy tym interesująca — herbaty produkuje się obecnie o prawie 70 proc. więcej niż w okresie przedwojennym. Innymi słowy — znacznie wzrosło jej spożycie.

Nie była to jednak szybka kariera. Znana na wschodzie już ok. 2.700 lat przed naszą erą, do Europy przywędrowała w XVII wieku, ale powszechniejszej konsumpcji doczekała się dopiero w drugiej połowie XIX wieku. Zanim rozsmakowano się w niej — budziła wstręt i obrzydzenie. Ba — była niemal roślina przeklęta.

Ks. Krzysztof Kluk, botanik, pisał na przykład w latach 1777—78:

„że, gdyby Chiny wszystkie swoje trucizny przesłały, nie mogłyby nam tym zaszkodzić, ile swoja herbata. Może to być, że w jakim przypadku jest użyteczna, ale częste zażycie owej ciepłej wody osłabia nerwy i naczynia do strawności służące, soki oraz zbytnio rozwalnia... Jeśli liście mogą mieć jakowąś skuteczność, zapewne nie tak osobliwą, aby się nie miały naleść nasze rośliny, które by im zrównały, a może jeszcze przewyższyły" (źródło — Zygmunt Gloger).

Inne rośliny jednak się nie znalazły i herbata rozpoczęła swój pochód. I to, myślę, z tych samych powodów, dla których odsadził ją „od czci i wiary" ks. Kluk, a więc z powodu teiny, która wzmaga czynność serca i daje pobudzenie psychiczne. Ta zawartością herbacianych liści tłumaczyć też pewnie trzeba, że kawiarze gdy już kofeina da im się we znaki, przerzucają się na czarną jak smoła szklankę herbaty. Skutek — prawie ten sam. Jeszcze lepszy dawałaby herbata zielona, która nie podlega procesowi fermentacji, rozkładającemu w części owe pobudzające czynniki, ale w tej, w Polsce, jakoś nie zasmakowaliśmy.

Wspomniałem przed chwilą o pochodzie herbaty. Trzeba to rozumieć dość dosłownie. Jako że łatwo przechodzi zapachem obcych ciał — na smołowanych żaglowcach traciła swą wartość i ceniona była tylko tzw. herbata karawanowa, a więc ta, która do celu dostarczano drogą lądową. Dziś oczywiście, nie ma tych problemów, a każda gospodyni wie, jak ją przechowywać, aby nie straciła smaku.

Skoro już o smaku mowa — w zależności od upodobania — wybieramy w sklepie „Junan", „Cejlońska", Gruzińska", „Ulung", „Madras"... Co dom — to inne upodobania. Myślę, że wszystkich smakoszy zaspokoiłaby „Krasnodarska", właśnie taka, jaką piszący pił w sowchozie w Dagomys, niedaleko Soczi.

„Krasnodarska", choć to jeden z najmłodszych gatunków herbaty, ma już swoją wyrobioną markę światową.

Historię herbaty krasnodarskiej spopularyzował w chętnie czytanym „Przekroju" Dariusz Piątkowski. Wypada mi więc tylko za nim powtórzyć, że zaczęło się wszystko niezbyt pomyślnie, kiedy to wbrew zwyczajom herbatę postanowiono ją uprawiać właśnie w Krasnodarze, a więc znacznie na północ od rejonów jakie sobie upodobała. Nie powiodły się pierwsze próby, ale nie zrezygnowano. Tak długo eksperymentowano, krzyżując różne krzewy, aż wreszcie trafiono na właściwą dla tych warunków klimatycznych odmianę. Wytrzymuje ona i 12° mrozu, a że tak niskie temperatury w okolicach Soczi nie bywają — nie grozi wymarznięcie plantacji. Inne niezbędne warunki do rozwoju są tu jak najlepsze: duże nasłonecznienie (ponad 200 dni pogodnych w roku), wilgoć, dobra, ale kwaśna gleba...

Tak więc herbata z Krasnodaru zaczęła — i to skutecznie — konkurować z gruzińską.

Sowchoz w Dagomysie uprawia herbatę na 643 hektarach. Drugie tyle zajmują sady, 100 ha liście bobkowe... Ale właśnie herbata jest „oczkiem w głowie" i dumą sowchozu.

Agronomowie, o specjalności upraw podtropikalnych, chętnie prezentują plantacje i udzielają informacji. Od nich to dowiedzieliśmy się, że choć plantacja dagomyska jest młoda, bo ledwie przekroczyła 15 lat (przy żywotności plantacji do 100 lat, pod warunkiem ich odmłodzenia po 30—50 latach), w Kraju Krasnodarskim jest jedną z wydajniejszych, dająca i do 6 ton herbaty z hektara. 70 proc. zbiorów jednak — to I gatunek.

W roku ub. sowchoz osiągnął 116 tys. rubli dochodu i to głównie z herbaty. Jeśli zważyć, że odbiorcy liści herbacianych (specjalne fabryki) płacą plantatorom 1 rubel za 1 kg, a trzy młode listki u wierzchołka krzewu, bo tylko te się zbiera, ważą ok. 1 grama — łatwo sobie wyobrazić, jaka to zielona masę wywieziono z sowchozu. I ile było pracy przy zbiorach!

W tym miejscu trzeba powiedzieć, że przeciętnie jeden pracownik sowchozu zbiera dziennie ok. 20 kg liści, ale są i tacy, którzy potrafią zerwać i do 100 kg. Maszyny na dość stromych zboczach nie znajdują jeszcze zastosowania.

Herbaciany sezon w warunkach Kraju Krasnodarskiego trwa od maja do października i w tym czasie z każdego krzaczka zbiera się listki ok. 10 razy. Ostatnie „żniwo" daje już liście grube, które służą do wyrobu herbaty prasowanej, najchętniej pitej w Średniej Azji.

Krzewy herbaciane od czasu do czasu mają swoje postrzyżyny. Obcięta zielona masa jest cennym surowcem do wyrobu kofeiny i garbnika — taniny.

A więc krzak-cud, dający człowiekowi duże bogactwo. Ten ostatni nie odwzajemnia się jednak tym samym — nie pozwala roślinie, by zakwitła swoim białym kwiatem. Tylko ten bowiem z całego krzewu nie znajduje w Krasnodarze zastosowania.

Rosjanie — wiemy to dobrze — lubią pić herbatę. To z pewnością było przyczyną znacznego rozszerzenia plantacji. W Gruzji na przykład z dwóch plantacji przed 1917 rokiem, uprawa rozrosła się do 70. Globalną produkcją herbaty Związek Radziecki w ostatnim czasie ulokował się na trzeciej pozycji w świecie — za Indiami i Cejlonem, ale przed ojczyzną „parzonych liści" — Chinami. W roku ub. osiągnięto w ZSRR niemal podwojenie zbiorów w stosunku do okresu przedwojennego, taka dynamika wzrostu produkcji nie może poszczycić się żadne z herbacianych mocarstw. A każdy rok przesuwa w Kraju Rad plantacje coraz bardziej na północ... Zmusza to do nowych odmian, daje nowy smak herbacie. Kto zatem wie, jak będzie smakowała na przykład za lat 100?

Krasnodarskim krzewom herbaty przyglądają się w „czarnomorskim sezonie" tysiące turystów. Patrzą na niepozorne rośliny, dotykają ich liści, czasem urwą dwa, trzy do zielnika, próbują herbacianą wrzątek, naśladując „tea-tastera" a potem w Tbilisi, Soczi, Suchumi czy Batumi, dokąd wiodą turystyczne szlaki, szukają w sklepach samowarów. Gruzini dziwią się: czyżby na herbatę nie smakowała już woda z czajnika?

Nie wiem, czy w ZSRR prowadzi się taką statystykę — gotów jestem jednak dać głowę, że w ciągu jednego sezonu turyści wywożą wagony samowarów.

Nie, nie będę ukrywał — i u mnie na kredensie stoi nowiutki samowar...

Łodzianie na podniebnych szlakach

Dalszy ciąg ze str. 1

wodach, zajmując z reguły czołowe miejsca. Olbrzymie zbiory dokumentów i zdjęć o wartości muzealnej, skrzętnie zbierane, padły pastwą płomieni w płonącej Warszawie. Lata II wojny światowej spędził w Rumunii, opracowując podręczniki i plany, aby bogatą wiedzę i doświadczenie przekazać następnym pokoleniom. W 1946 roku powraca do kraju, do rodzinnej Łodzi, jest jednym z wielu działaczy, którzy reaktywowali działalność Aeroklubu Łódzkiego. Do ostatniej chwili swego pracowitego życia był czynnie związany z lotnictwem i jego idei służył. Wojciech Woyna zmarł w Łodzi w 1960 roku, pozostawiając potomnym trwały dorobek i przykład, jak należy kochać i rozwijać lotnictwo.

Podłódzkie lotnisko Lublinek odegrało dużą rolę w rozwoju lotnictwa na naszym terenie. W roku 1927 na wykupionych od zarządu miejskiego terenach powstaje lądowisko dla samolotów komunikacyjnych, a w dwa lata później rozpoczyna swoją działalność Aeroklub Łódzki. Istnieją już w naszym mieście modelarnie lotnicze, do których uczęszczają uczniowie szkół średnich. Łodzianin, Wojciech Matz, po ukończeniu szkoły, a następnie szkolenia lotniczego, pełnił funkcję instruktora pilota w Aeroklubie Łódzkim i w powstałym na Lublinku, pierwszym w Polsce, centrum P.W. Lotniczego. W 1939 roku, po wybuchu wojny, w czasie ewakuacji samolotów sportowych z Łodzi, Wojciech Matz bombarduje zaskoczonych Niemców skrzynkami odbezpieczonych w czasie lotu granatów ręcznych. Wraca potem do Łodzi i pracując jako robotnik na ówczesnym placu „Leonarda" w niemieckiej firmie lotniczej dokonuje szeregu akcji dywersyjnych, w wyniku których cenne przyrządy pokładowe, montowane tam dla „Luftwaffe", nadają się jedynie na... szmelc.

Po wyzwoleniu Wojciech Matz jest kierownikiem Oddziału Lotnictwa Cywilnego w Łodzi, organizuje i nadzoruje wszystkie akcje lotnicze na terenie województwa. Pracuje później w łódzkim oddziale „Lotu" a następnie, aż do chwili obecnej, jako zawiadowca lotniska w Lublinku. Jego syn, również Wojciech, nazywany popularnie przez kolegów z lotniska Matz-junior, student Politechniki Łódzkiej, poszedł w ślady ojca. Jest jednym z czołowych pilotów szybowcowych.

Inny łodzianin, Jan Andrzejewski został w latach międzywojennych instruktorem szybowcowym. Wyszkolił w swojej karierze wielu znanych polskich pilotów, między innymi sławnego dowódcę 315 dywizjonu myśliwskiego Eugeniusza Horbaczewskiego. Andrzejewski, jako pierwszy instruktor w Polsce zastosował praktycznie wyciągarkę do holowania w okresie pracy na lotnisku Adamkowo w Brześciu n/Bugiem. Był też instruktorem w jednej z trzech przedwojennych szkół wyczynowych na Sokolej Górze koło Krzemieńca, gdzie szkolił przybyłych do nas Czechów i Bułgarów. Po zakończeniu wojny przybył do rodzinnego miasta i rozpoczął pracę lotnika od zwiezienia poniemieckich szybowców odnalezionych w Nakle. W bardzo ciężkich warunkach, często o chłodzie i głodzie, wyszkolił pierwszą po wojnie grupę pilotów szybowcowych, z których wielu pełni do dzisiaj służbę w lotnictwie wojskowym i cywilnym. W tej pionierskiej pracy pomagali instruktorowi Andrzejewskiemu, Józef Zieleziński, Władysław Rybicki, Andrzej Trzciński, Stanisław Barczewski i wielu innych, których nazwisk nie sposób wymienić w tym skromnym z konieczności artykule. Obecnie pan Jan już nie lata, ale w lotnictwie pracuje nadal jako kontroler ruchu lotniczego.

Ziemia Łódzka dała Polsce wielu wybitnych lotników. Wspomnieć tu należy, pochodzącego z Warty, Stanisława Skarżyńskiego. Mimo ciężkiej rany postrzałowej kolana, odniesionej w czasie I wojny światowej, postanowił za wszelką cenę zostać pilotem. Pokonując wiele trudności i przeszkód zdecydował się na przejście kilku poważnych operacji nogi i w końcu dopiął swego. Z trudem przebrnął przez wiele komisji lekarskich, by wreszcie uzyskać zezwolenie na szkolenie lotnicze. Wsławił się później jako wytrawny pilot w locie dookoła Afryki (około 26.000 km) i w samotnym przelocie na polskim RWD-5bis przez południowy Atlantyk (3.650 km). W okresie II wojny światowej płk. Skarżyński był dowódcą jednego z lotnisk w Anglii i chociaż nie musiał latać bojowo, uważał za swój święty obowiązek brać czynny udział w walce. Latał więc z wyprawami bombowymi nad Niemcy. W jednej z takich wypraw w grudniu 1942 roku samolot Skarżyńskiego, postrzelany jak sito, wraca znad Niemiec, ale nie mogąc osiągnąć brzegu Anglii woduje na kanale. Jest ciemna mroźna noc, cała załoga zdołała się uratować, tylko Stanisław Skarżyński, zdobywca Atlantyku, wielki Polak ginie w tym samym dniu, w którym piloci polscy zestrzelili pięćsetny samolot wroga.

Wielu łodzian, członków łódzkiego Aeroklubu, pilotów i mechaników oddało życie w tej najkrwawszej z wojen, wielu ją przeżyło i pracuje nadal dla kraju i lotnictwa. Lotnisko Lublinek tętni nadal pracą, szkoli się młodzież, która wyrosła już w wolnej Polsce.

Właśnie Łódź stała się po wojnie kolebką polskiego przemysłu lotniczego. Tutaj powstał pierwszy samolot o nazwie „Szpak-2". Tutaj skonstruowano i oblatano następne wersje „Szpaka", „Żaka", „Junaka", „Zucha", „Misia" i „Żurawia". Zespół pod kierownictwem inżynierów: Sułkowskiego i Sołtyka opracował prototypy samolotów i doprowadził do ich seryjnej produkcji. Łódź była miejscem seryjnej produkcji szybowców „Mucha" i „Czapla". W Łodzi pracował światowej sławy uczony-aerodynamik prof. Czesław Witoszyński, twórca Instytutu Aerodynamicznego w Warszawie i nowej metody projektowania i obliczania śmigieł lotniczych. W Łodzi odbyło się na przestrzeni ostatnich 21 lat szereg poważnych imprez lotniczych, a nasi fachowcy, inżynierowie, technicy i instruktorzy brali udział w wielu wyprawach zagranicznych, gdzie uczyli innych rzemiosła lotniczego. Tak na przykład obecny kierownik Aeroklubu Łódzkiego mgr inż. Marian Wiśniewski i inż. Zygmunt Dziedzic oraz instruktor Bernard Kopicki byli w dalekich Chinach, organizowali tam przemysł lotniczy i szkolili pilotów.

Polskie szybownictwo ma już zdecydowanie pierwsze miejsce w świecie, a łodzianie też mają niemały w tym wkład. Pamiętam, jak na lotnisko przychodził młody przystojny chłopiec. Szkolił się na szybowcach, trenował zawzięcie i wytrwale. W zawodach szybowcowych juniorów zdobył tytuł mistrza Polski i wtedy to okazało się, że narodził się nowy talent, Józef Pieczewski. Obecnie po latach ten sam inżynier już, Józef Pieczewski jest instruktorem pilotem szybowcowym i samolotowym, jest jednocześnie szefem wyszkolenia w Aeroklubie Łódzkim i od wielu lat członkiem Szybowcowej Kadry Narodowej Polski. W swojej bogatej karierze lotniczej dwukrotnie zdobył tytuł szybowcowego mistrza Polski, a aktualnie jest Mistrzem Szybowcowym Państw Socjalistycznych i Mistrzem Sportu. Za osiągnięcia te odznaczony został najwyższym w naszym kraju odznaczeniem za „wybitne osiągnięcia dla szybownictwa" — Medalem im. Czesława Tańskiego. Medal ten posiada w naszym kraju zaledwie sześć osób.

Nie wszystkich, którzy przysłużyli się rozwojowi łódzkiego lotnictwa wymieniłem, ale są tacy, o których nie sposób nie wspomnieć. A więc znani w całej Polsce modelarze: Seweryn Wosik, Włodzimierz Bredsznajder, Zdzisław Umiński, Radosław Fidala, Stefan Polawski, Jarosław Janowski i Stanisław Pacho, który od 20 lat szkoli modelarzy w Piotrkowie Trybunalskim. Instruktorzy i piloci: Seweryn Przybylski i Franciszek Przybylski, Stefan Berezka, Maria i Stanisław Mucha, Ireneusz Jóźwiak, Andrzej i Jacek Lewandowscy, Andrzej Perzyna, Lech Szybiłło, Czesław Domke, Ryszard Szulc, Zygmunt Sroczyński, Jerzy Waliński, Jerzy Modliński, Spadochroniarze: Bogdan Szmidt, Grzegorz Miliński, Mariusz Muszkiet i Karol Gonera. W wojskach lotniczych służą łodzianie: byli modelarze i piloci Aeroklubu Łódzkiego — Wiesław Krawczyk, Stanisław Klabka i Jan Widawski oraz wielu innych. Szefem pilotów w Polskich Liniach Lotniczych „LOT" jest wyszkolony w P.W. Lotniczym przed wojną na Lublinku, łodzianin Tadeusz Henzel, w „Locie" lata, do niedawna jeszcze instruktor Aeroklubu Łódzkiego, Roman Szylberg, przechodzi przeszkolenie na samolotach komunikacyjnych Ryszard Zajda.

Jak więc widać z tego w skrócie podanego „wyciągu" z historii polskiego lotnictwa Ziemia Łódzka wydała wielu wybitnych lotników, których osiągnięcia liczą się nie tylko w kraju, lecz również daleko za granicami Polski.

EDWARD HANISZEWSKI

TADEUSZ ŻAKOWIECKI

PROWINCJONALNE DRAMATY

— Trzymać kury w ogrodzeniu? Nie, drogi panie, koło Wielunia już tak próbowali. I wie pan co? Kury wyzdychały. Tak, zwyczajnie wyzdychały. Brakowało im zieleni. Jeśli pan chce o tym pisać, powinien się pan na tym znać; powinien pan wiedzieć, że kury muszą chodzić swobodnie...

Rozmówca mówił leniwie, raz po raz przymykając oczy, jakby tłumaczył sprawy zawstydzająco oczywiste. Gustownie urządzony gabinet, gruby dywan i duże, eleganckie biurko dodawały powagi jego słowom. Mimo to, trudno było mi uwierzyć w rzekomo oczywisty fakt, że ludzie, którzy ujarzmili atom i zbliżają się do lądowania na Księżycu, nie potrafią ograniczyć kurom — bez szkodliwości dla ich zdrowia — nadmiernej swobody. A w tym wypadku — właśnie z powodu nadmiernej swobody kur — zginął człowiek. Tak przynajmniej wygląda „zewnętrzna" przyczyna tej śmierci.

Krótko mówiąc, było to tak:

Kury weszły na obsiane pole, spędził je spuszczony z łańcucha i specjalnie poszczuty pies, pojawił się właściciel kur, do miedzy podszedł gospodarz obsianego pola, od słowa do słowa, od wyrzutu do wyrzutu, podniesiono z ziemi kołek, rozległo się wołanie o orczyk — ciosy! ciosy! ciosy! — pogotowie, bezskuteczna trepanacja czaszki — śmierć!

* * *

Dwa pasy kiepskiej, żytnio-kartoflanej ziemi, dwa zaniedbane, niechlujne obejścia. Kto wie — gdyby zamiast cherlawych sztachetek wyszczerbionego płotu połyskiwała rozpięta siatka albo rósł gęsty, wysoki żywopłot — może nie doszłoby do kłótni, starcia i śmierci?

„Ciekawy" powiat. Nie najlepsza ziemia, ogromne rozdrobnienie gospodarstw, daleko do dużych ośrodków przemysłu i kultury, daleko do kolei, daleko nawet do autobusów. Ludzie pracowali tutaj całymi wiekami od świtu do zmierzchu z małym zyskiem, bez możliwości odkładania pieniędzy, które pozwoliłyby kiedyś — choćby synom i wnukom — wykroić trochę czasu na rozmyślanie o sprawach stosunków międzyludzkich o sprawach kultury, uczciwości moralności.

Człowiek z tego powiatu nie wiedział, że zabije. I chyba nie chciał zabić. Ale nie kierowały nim skrupuły moralne. Gdyby mógł zabić bez konieczności płacenia za to karą długoletniego więzienia — może zabiłby już dawno. Drób był tu tylko sprzyjającym eksplozji zbiegiem okoliczności. Przysłowiowe patrzenie na siebie wilkiem, kłótnie i nieporozumienia trwały od lat. Nie obeszło się także bez „pyskówek" w sądzie.

Nie jest tu ważne, czy X., czy też Y. zabił sąsiada. Obydwaj mieli jednakowe szanse obydwaj mieli w zasięgu ręki coś ciężkiego. Że zabił akurat X., to sprawa czystego przypadku. Ważne jest tutaj to że w czasie sąsiedzkiej kłótni zginął człowiek. Ważne jest także to, że „bohaterowie" dramatu nie byli ludźmi pierwszej młodości.

* * *

Przyczyny sąsiedzkiej niezgody? Spór o ziemię? Może o jakieś nie spłacone zadłużenia?

— Nic z tych rzeczy — mówi jeden z miejscowych rolników, wyróżniający się tym, że w jego domu stoi półka z książkami — kłócili się zwyczajnie, jak to sąsiedzi o byle co...

No tak, kłótnie sąsiedzkie, i to kłótnie „o byle co" są tutaj czymś zwyczajnym. To też była zwyczajna kłótnia. Tylko, że zakłócili się na śmierć.

A na naszej wsi spokojnej zdarza się jeszcze często, że w wyniku sąsiedzkich kłótni umierają ludzie. Albo są zaledwie o krok od śmierci.

* * *

Myślę, że nietrudno obliczyć, jakie szkody w zasiewach może poczynić stadko nie upilnowanych kur. Myślę, że straty te nie byłyby zbyt wysokie. Nawet dla niezamożnych mieszkańców biednej wsi w zaniedbanym powiecie.

Co prawda człowiek za dużym, lśniącym biurkiem mówi, z przymkniętymi oczami o głęboko tkwiącym wśród tych ludzi poszanowaniu pracy o ich wrażliwości na każdy marnotrawiony grosz jednak pewne fakty mówią, że nie chodziło tu tylko o próbę wyrównania krzywdy materialnej.

Przeciwko grzebiącym na obsianym polu kurom wielokrotnie spuszczano z łańcucha psa. Psu temu od czasu do czasu udawało się dopaść któregoś z nie dość szybkich ptaków i zatarmosić go na śmierć.

Co wtedy robiono? Czy zagryziony ptak wędrował na stół, w ramach rekompensaty za szkody poczynione na obsianym polu?

O, nie. Martwą kurę przerzucano przez wyszczerbiony płot na podwórko właściciela. W geście tym kryło się wiele: i nienawiść, i groźba i ostrzeżenie, i pogarda. Podobnie postępują — jak wiemy z pewnego pokroju książek i filmów — gangsterzy. Zależy im nie tylko na tym aby zabić członka konkurencyjnego gangu, ale także na tym aby podrzucić jego ciało żyjącym jeszcze kumplom.

* * *

Wiadomo, że nikt nie wpędzał drobiu na ozimine specjalnie. Z całą pewnością była to tylko ślepa inicjatywa drobiu. Ten, który później okazał się zabójcą — musiał wiedzieć o tym. Ale chęć odwetu stała poza wszelkimi racjonalnymi przesłankami.

Mówi rolnik wyróżniający się tym, że w jego domu stoi półka z książkami:

— X. nie lubił — jak zresztą wielu z nas — paru ludzi ze wsi. I paru ludzi nie lubiło jego. Wśród nich znajdowali się tacy do których jego niechęć można było bez kłopotów i dość przekonywająco umotywować. Jednak X. najbardziej nie lubił swego sąsiada...

Oto cytat z „Wyspy Pingwinów" Anatola France'a:

„Kto mówi: sąsiad, mówi: nieprzyjaciel. Patrz na pole, które dotyka mego pola. Jest to pole człowieka, którego najbardziej na tym świecie nienawidzę. Po nim największymi moimi wrogami są mieszkańcy wioski sąsiedniej, rozłożonej na przeciwległym zboczu doliny. Ilekroć nasi parobcy spotykają tych z przeciwka, wymyślają sobie i biją się".

* * *

Anatol France pisał „Wyspę Pingwinów" przed sześćdziesięcioma laty, a ów rolnik, wyróżniający się zamiłowaniem do książek, przekazał obserwację związaną jedynie z mieszkańcami swojej biednej wsi zaniedbanego powiatu. Nie wydaje się, aby obie te prawdy dały się zastosować dziś do stosunków międzyludzkich na każdym miejscu. Wiadomo z wielu źródeł, że im wyższa wiedza, im większe zrozumienie praw rządzących gospodarką rolną — tym mniejsza zazdrość o pola sąsiadów. Bo chodzi tu przecież z całą pewnością o odwieczną zazdrość, że jest to j e g o, choć równie dobrze mogłoby być m o j e.

Jeszcze do niedawna „parobcy" dwóch sąsiadujących wsi „wymyślali sobie i bili się" nagminnie. Dziś takie wypadki — choć miewają czasem miejsce — nie są zjawiskami typowymi. Dziś młodzież dwóch sąsiadujących ze sobą wsi dojeżdża razem do szkół i do pracy chodzi do jednej klubo-kawiarni, a tym, co najczęściej decyduje o przyjaźni jest wspólnota zainteresowań i osobista sympatia, nie uwarunkowana żadnymi względami „terytorialnymi".

Należy się spodziewać, że jeszcze często usłyszymy o zabójstwie dokonanym nad przysłowiową graniczną miedzą. Ale mało prawdopodobne będzie, aby w takich wypadkach bohaterami dramatu byli ludzie młodzi, stykający się od dzieciństwa z elektrycznością, radiem, kinem, gazetą i książką.

Kiedyś w fabrykach i warsztatach pracowali majstrowie, którzy wysyłali uczniów po młotek, kiedy trzeba było naprawić jakieś urządzenie lub maszynę. Dziś tacy majstrowie są już legendą. Każdy fachowiec chętnie bez obawy o swój interes osobisty, powie i pokaże młodemu, co i w jaki sposób należy w danych okolicznościach zrobić.

Chyba już niedługo przyjdzie czas, że i chłopi zabijający się nad graniczną miedzą — podobnie jak ci majstrowie, wysyłający uczniów po młotek — przejdą wreszcie do legendy.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Eugeniusz Sawrymowicz — JULIUSZ SŁOWACKI, WP, cena zł 26. —

Praca zbiorowa — W SŁUŻBIE WSI I KRAJU, LSW, cena zł 21. —

Antoni Kasprowicz — „POD KWITNĄCYM KASZTANEM", WŁ, cena zł 8.

Julian Kawalec — „ZIEMI PRZYPISANY TAŃCZĄCY JASTRZĄB", Biblioteka Powszechna, cena zł 10.

Adam Grzymała-Siedlecki — „STO JEDENAŚCIE DNI LETARGU", WL K-ków, cena zł 18.

Ponidzie — PROZA 65, WŁ, cena zł 10.

Ilia Erenburg — „LUDZIE, LATA, ŻYCIE", Czytelnik, cena zł 24.

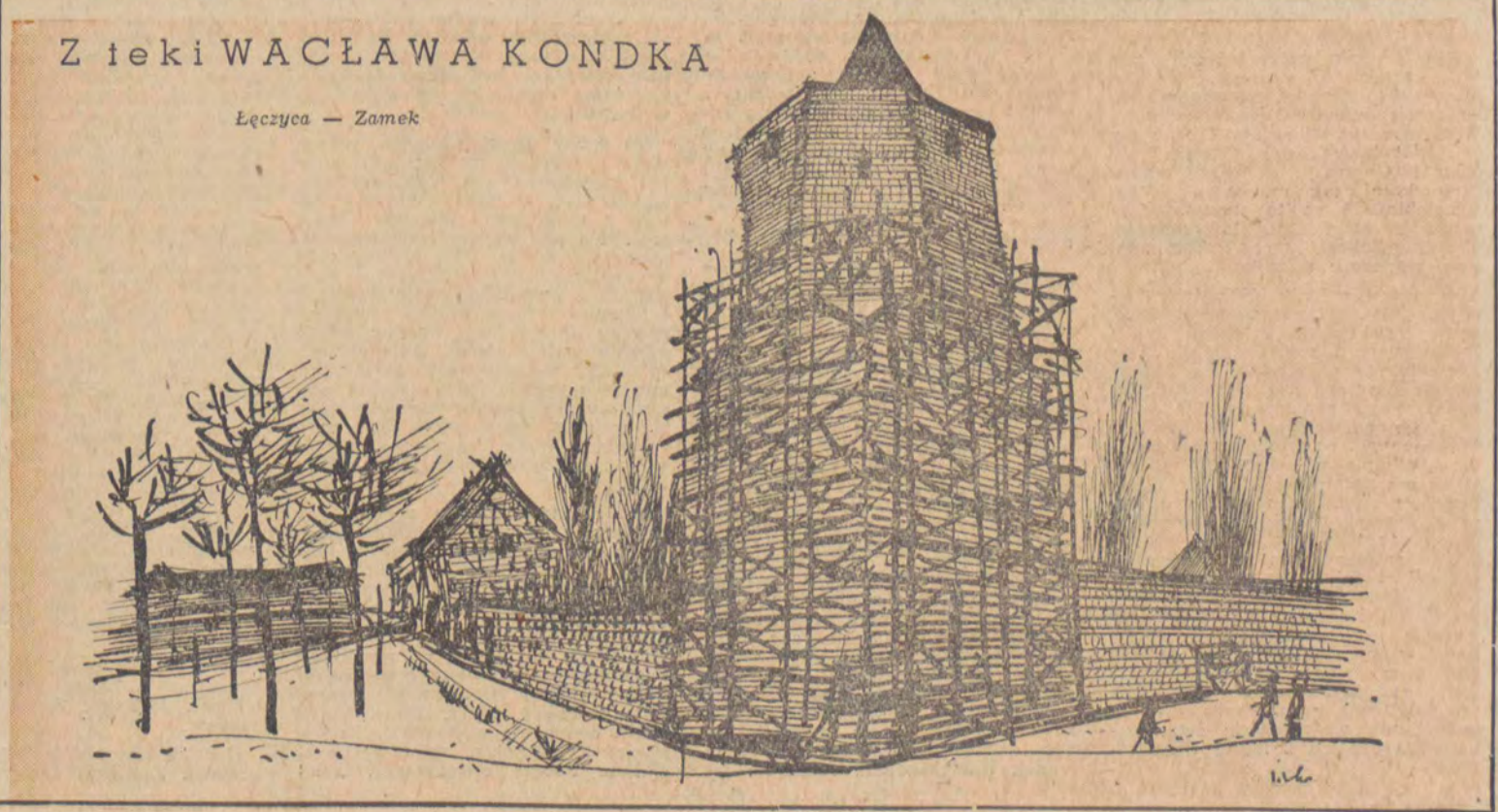

JERZY WALEŃCZYK

BARYKADA

Atakujemy te barykade od trzech dni. Uparta. Te płyty wyrwane z ulicy, poustawiane starannie z nad mierna pieczołowitościa, posegregowane pocieszniе, czerniace sie nie obeschła ziemia, niektóre powysuwane, inne cofnięte, zabawna kartoteka kamieni, contra naturam, jak by zaskoczona nieco, zdziwiona, kreski ciemne przekreślaiace ulice, zagradzajace im droge do syntezy, do perspektywy.

Wiec odcieta perspektywa. Ileż pieczołowitości i wiary wkładały te rece w sens każdego kamienia. Równo ułożone. Symetria wyznaczona spokojem i wiara, przekonaniem i uporem, nadzieja i rozpacza, aktualnościa i beznadziejnym anachronizmem.

Regulować szkła mojej czarnej w kolorze lornetki, która dysponuje matematycznie tym krajobrazem niezawinionego szaleństwa, tym nie poważnym stosunkiem do życia ludzi przecież doskonale orientujacych sie w naszych błyskawicznych refleksiach, opartych o baze bezwzględnego rozkazu i jasnego widzenia pola.

Ta optyka Zeissa znakomita. Mamy dobre szkła. O, nie, nic nie szkodzi. Co za uparci ludzie. Nie rozumieja, że teraz byłaby pora na zupełnie inna gre.

Contra naturam. Słońce zwiesiło łeb jak zziajany pies na tych humorystycznych płytach i liże je szukając grudki wilgoci w schnacej warstwie czarnoziemu. Co to? Kolosalne. Tak, istotnie, ta płyta na lewo, z boku, która, zaraz, zaraz, piętnasta licząc od ziemi mrowi sie błonkoskrzydłymi mszycami. Śmiesz ne. Jak można mieć tu gniazdo mszyc. Tych krów uskrzydlonych, ciężkich, te skrzydła nie do latania, krowy aportowane przez obrotne mrówki, kolosalne rozłaża sie pod jezorem słońca, szukaja swojego pierwotnego gniazda, skrzydełka jakby wycięte z pergaminu, bezradne z leżacymi bezcelowo już teraz, kruchymi jajeczkami. Jezor słońca prycha w zrujnowane gniazdo, o, próbuja sie chronić w załomy, zsuwaja po bocznych ściankach, wspaniała historia, mszyce bez gniazda, mszyce wysychajace, ociężałe, niezgrabne, przeklete, jeszcze raz. To mnie pociąga. Spróbujcie teraz pofruwać, ale szybko, szybko przeklete mszyce, idiotyczne, ćwiczenie zrobiłoby was zdolnymi do lotu, ćwiczenie moi panowie, jestem w znakomitym humorze, kiedy mi przychodzi do głowy, że mszyce nie znaja Góethego, olbrzymi dowcip, mszyce i Goethe!

Dzieło człowieka. To zupełnie dobrze wygląda. Co za niepokój na tej otwartej płycie. No tak, nagrzewa sie. Olbrzymia barykada. Kolosalna. Te worki wybrzuszone to nawet nowe. Szkoda. Nasze worki. Handelstelle Ost. To jest dobre. Cudaczny naród. Te warstwy geologiczne. Z pewnościa uprzednio nie zastanowili sie dobrze nad strategia bojów ulicznych. Chodzi im o rewanż. Jesteśmy do dyspozycji. Ileż estetyki w tej brzydocie.

Teraz troche na lewo. Poczciwa szafa z oderwana połówka drzwi rozłożyła sie wyciągając kopyta jak zdychająca szkapa dorożkarska. Taka szafa była u ciotki Emmy. „Suknia robi człowieka" mówił wujek Rudolf. Żarty na bok. Barykada robi człowieka, wujku Rudolfie. Zagra im znowu ten beben pod batuta naszych M.G.

Ale te krzesła to moga już kogoś wprawić w sadystyczny śmiech. Nawet niezłe obicia. Wygląda mi na skóre. Te wyciągnięte sarnie nóżki krzesełek.

A w gruncie rzeczy też sobie znaleźli zajecie w sierpniu. Piękne konstrukcje z mebli mieszczańskich. Katharsis mieszczańskiego wnętrza. Wątpliwie funkcjonalne. Troche wyżej. Diabelskie słońce. Grzeje kolosalnie. Goraczka. Trzeba odpiąć nieco kołnierzyk munduru. Teraz już lepiej. A co to znowu. Czerwony kwiatek. Goździk, czerwony goździk. Zniknął teraz. Zamigotał nad workami i zniknął.

Czerwony goździk. Tak jest. Lubiłem kiedyś czerwone goździki. Rosły na klombie w domu moich rodziców w Lippe Detmold. Mała mieścina, tak mała, że aż fikcyjna, ale przyjemna. Zaciszne uliczki, dudniace milczeniem, dzikie wino pnie sie po ścianach ceglanych i drewnianych, po rynnach, powiewajace listkami, tyle spokoju, półsnu, atmosfera stabilności, mój pokój naukowy. Robiłem wówczas doktorat z dramatu Sofoklesa. Powiedziano mi, że teza jest bardzo odważna. Przeprowadziłem precyzyjny dowód. Kocham sztuke helleńska, antyczny świat. To moje miasteczko, przecież znów twarz tej dziewczyny wyłania sie zza worków. Panie Boże w niebie, czerwony goździk wpięty we włosy, o, mam już teraz twarz, ładna, zaciete usta, wyraz inteligencji, no, chyba nie ma więcej niż siedemnaście lat, brunetka, a coś ma z mojej Charlotty.

Śmiała teza. Edyp to dramat ludzkości, a nie spłaszczony kompleks. Kompleks Edypa? Znakomite. Przykład z Edypem jest jednostronny, więc fałszywy. Kreon był prowokatorem. Gdyby nie było nawet kompleksów, wymyśliliby je. Edyp był ofiarą żądzy władzy Kreona. Klasyczny przykład ofiary prowokacji i ostrzeżenie ludzkości przed teoriami spychajacymi ja do piwnic kompleksów niższości i na strych wraków. Prawda jest brutalna. Nie mogłem dostatecznie oderwać sie od tego problemu przez kilka lat. Kolosalna perfidia Kreona: „No, właściwie wszystko zakończyło się według twego życzenia, Edypie". Naiwny Edyp proszący. „Zabij mnie". A Kreon: „O, z wielka satysfakcją to uczynię, sprawi mi to wielkie zadowolenie". Więc najwyższa sprawiedliwość wydaje wyrok na siebie, pytałem.

Z kim żyjesz we własnym domu i z kim obcujesz, kim jesteś dla tych, których nazywasz swoimi, a którzy żyja lub sa już w grobach? Tak pytał Teireziasz. Jokasta w w czarnej halce. Podniecajace. Te nieszczęścia prowincjonalnego miasteczka. Jałowa świadomość jest przekleństwem. Tesknie już do rodzinnego miasteczka. Tyle w nim spokoju. Po co schodzić do piwnicy swojego mózgu z ogarkiem, który wyjaśnia zaledwie cień chybocący się na zroszonych, spoconych, zimnych białymi kroplami, chropawych, sprzyszczonych, skamieniałym wapnem ścianach.

Dramat to piękna rzecz. Zmartwychwstaje po tysiącu lat przy akompaniamencie tańca świateł, barw, form, wyzwolony z milczenia i draperii anachronicznej i eksploduje intensywna siła. Kocham Grecje. Przychodzi do głowy ta nasza wycieczka studencka z 1938 roku. Zdjecie przed Partenonem. Siedzimy na kamiennych balustradach schodów. Charllotte ma w twarzy dużo słońca, noga założona na noge odsłonięte kolana. Też był sierpień. Jaka mamy właściwie pewność, że Edyp był mordercą, pytałem. To przecież były wszystko przeklete machinacje Kreona, ukartowane z góry. Edyp, ofiara udręczona, wtracona w kompleks. Wróce do tego jeszcze po wojnie. Kompleks winy wobec zjawisk najzupełniej obcych!

Posłaniec był inspirowany, zaarangżowany przez Kreona, pisałem. Kreon — Edyp, konflikt dwóch kultur.

Dobrze, że ten wiatr obudził się wreszcie. Taki wiatr zapowiada zmiane pogody, na pewno będzie jutro padać.

Tak. Moje zainteresowanie i stopień naukowy wysunęły mnie do przodu i jakby rozluźniły więzi z moimi kolegami, którzy zakochali się obłędnie w tej czynności zabijania. Co ja tu właściwie robię, tu w Warszawie, powinienem był pisać w swoim miasteczku, moim małym miasteczku wielki esej o nieszczęściach innego małego miasteczka przekletego rzekomo przez bogów, a w istocie o ofierze prowokacji, co ja tu robię przed tą kupą kamieni, worków z piaskiem i pokaleczonych zrujnowanych mebli, dziwne zabawy ludzkie, ach, jak najmniej być z sobą, to wszystko nie ma sensu, należało siedzieć w domu od stycznia do grudnia, badać greke, myśleć o wpływach bogów na losy człowieka, o maskach bogów, działanie jest kosztowne, a jednak intelektualista czuje się lepiej, kiedy ma pod reką pistolet 08, piorun, jeszcze raz, nigdy nie mogłem zrezygnować z myśli krytycznej, ale nie mogliśmy inaczej, a teraz do czego doszło, absurd, w takiej chwili, te wątpliwości zawsze zamieszkiwały moje serce, dlatego nie mogłem awansować wyżej. Moje antyczne asociacje, często mumifikowały to, co moi koledzy uważali za żywe, tryskające źródła mi w Europie. Jestem żołnierzem, nie moge zapominać o tym. sens mojego pokolenia trwa w wielkiej przygodzie, eine grosse Abendteuer, a jednak za dużo naczytali sie Karola Maya, nie można było inaczej, żołnierzem jestem, jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. zostawiłem Charllotte, bawi sie na pewno z tym przekletym lekarzem, on ma niespokojne spojrzenie, jest ginekologiem, na wschodzie w okopach żołnierz nie rodzi, gdyby wszyscy byli tacy ładnie byśmy wyglądali. ale co będzie jutro, ta cała awantura warszawska jest zupełnie obłędna, dlaczego oczekuja ode mnie spełnienia rozkazu, o reszcie nie wiem, chociaż nie moge pozbyć sie natretnej myśli, żeśmy tutaj przeholowali, trzeba było to wszystko jakoś załatać w duchu porozumienia, rozkładam się, wątpliwość mieszka w moim sercu, poezji za dużo we wczesnej młodości, książek za dużo, nie jestem dobrym żołnierzem, obowiązek bez granic, nie zostawimy po sobie przychylnego nam świata, wielka europejska przygoda, to się dobrze nie skończy, ale jestem nie tylko za siebie odpowiedzialny, ale również za moich kolegów. Odrzucić słabość, uczucie rzeczywistego koleżeństwa bez względu na pochodzenie, bez względu na wiek, na stopień, bez względu na wykształcenie. Moi koledzy nie rozumieja moich myśli i nigdy nie próbuja z nimi dyskutować, kiedyś to robiłem nieoględnie i zapaskudził mi akta epitet „słabeusz". Piorun, jeszcze raz. Tak, zaufanie dla wodza, czoło mi zwilgotniało, znów ten czerwony goździk z tamtej strony, odważna dziewczyna. Co robi teraz Charllotte, znów zaczynam sie rozkładać, sentymentalny słabeusz.

To dobry punkt widzenia, z tego okna z wyrwanymi ramami, parapet pomalowany na biało, dość wygodny fotel z czerwonym pokrowcem z miekkiego materiału. Zdaje się, że środkowa sprężyna popsuta, znakomity obraz celu, ta barykada w syntezie ulicy milczącej swoje nadzieje, wszystkie swoje wahania i formuły i jasne decyzje. Pryzmat służący do ustalenia obrazu, punkt odległy o ile metrów, jakie oni ma ja środki do dyspozycji, na strychu nad ta barykada lekki karabin maszynowy i Granatenwerfen, który źle pracuje, ciągle sypie się wapno ze ściany mojej kamienicy, gryzie je jak szaleniec, co za brak precyzji.

Teraz pozycja słońca z boku, już powietrze czyste zupełnie jasne przedpole, są spokojni, tam, nie maja więcej niż kilkunastu ludzi, ja mam jasny rysunek, nieznośnie i niezrecznie zachowuje sie ten czerwony goździk.

Jeśli się to ujmie w zasadniczy sposób to odpoczywam. Podobaja mi się również te bratki z pierwszego piętra z prawej strony. Białe. Takie bratki wymagaja pielęgnacji. Są już troche za wysokie, właściciel musiał je dobrze pielęgnować. Niżej szyld biały z czarnymi literami, druk, ale trochę chwiejny. Obuwie. Obuwie. Tak. Bruk tu nieszczególny. Jakby ziemia fermentowała pryszczami kamieni. I całe metry tego zrujnowanego chodnika, czarnoziem sfermentowany. Ten ich lekki M.G. jest zamaskowany w głębi kwadratu lufcika pod dachem. Cofniety nieco w głąb strychu! Brzuchy balkonów. Pogryzione ściany. Ścięte gzymsy. Mieszczańskie ornamenty, ni to liść, ni to wąż, linia wygięta, ta epoka stabilizacji mieszczaństwa, poczucie długofalowej egzystencji no, ale tego wszystkiego było już za dużo.

II.

Zachowałam dla niego siebie, a on, dosięgła go kula. Boże drogi, mój Boże, muszę być silna, za mojego męża, najdroższego, mówił jeszcze tydzień temu: „przecież zawsze traktowałem cię poważnie, inaczej, w mrocznym pokoju przy świecach sprawdzaliśmy razem pistolety, a on mi dał czerwony goździk, mówiac, to nasz kwiat weselny. Łzy miałam w oczach, kochany chłopak, mój Adam, taki czerwony goździk, świeży i potem miałam oczy pełne łez i nie mogłam mu nic powiedzieć tylko wargi mi drżały, tyle mi z siebie dał, chroniłam się w nim, w tym wszystkim co mówił, koledzy szanowali go, za szybkość decyzji, jasny umysł, mój chłopak jasny, i nie wiem już teraz nic zapatrzona w tamta strone, musze się opanować, nie czuje strachu, ach, pomścić jego śmierć.

Rok temu poznałam go pierwszy raz, siedzieliśmy w parku, w Łazienkach, powiedział „Niedługo się zacznie, Krystyna, mamy pełne ręce roboty, ten statek już tonie, szczury wyskakuja z niego, Badoglio wyskoczył, chłopcy czekaja na sygnał". „Musisz być ostrożny — powiedziałam, — szpicli się namnożyło, zatapiaja w przechodniach spojrzenia jakby wszystko chcieli w ich oczach wyczytać". „Będzie Polska, rozumiesz, będzie Polska, nasza, własna, zmartwychwstanie, Kryśka, rozumiesz, piękne, wolne życie, studia, koniec łapanek, sflaczali wracaja ze wschodu, stena za pare marek można od nich kupić, chodza wzdłuż ścian ostrożni, wiedza, że zegar naszej historii teraz wybije". Westchnienia rwały mi się z warg. „Źle ze mna, mam złe przeczucia, uciekajmy stąd". „Krystyna, nie wiesz co znacza dla mnie moi chłopcy, jak liczą na mnie, nie moge ich zawieść, przywiązali się do mnie, powstanie, powstanie, tylko powstanie, o czym ty myślisz, Krystyno". „Nic, nic nie mów, strasznie lubiecie słuchać". „Chodź do naszego grona, duma nie pozwala nam zostawiać tych czterech lat bez odpowiedzi, zabawimy się z nimi, o czym ty myślisz, o czym". „Myślę, że jesteśmy na ulicy zabłakanych kotów" — powiedziałam. — „Głupstwa gadasz, śpimy już z bronia na piersiach, piorun uderzył w pore, za spalonych, rozstrzelanych". „Boje się" mówiłam. „Będziesz rane opatrywać". „Na łeb na szyje beda zwiewać, broni jest co niemiara, tak, oni nas nauczyli kochać Warszawę".

W suterenie przed żelaznym łóżkiem, gdzie konał, zebrał się cały oddział. Milczeli. Zmówiono krótki pacierz.

Garstka naszych wróciła na swoje pozycje. Zostałam sama, chodzac z włosami w nieładzie po suterenie, a później zaczęłam go całować.

A jutro, co jutro, palec na cynglu przyciskać, co będzie jutro, staniesz się podobny do figury gipsowej, do kawałka zetlałego sztandaru, zbutwiałego, zapomnianego przez wszystkich. Staniesz się kłoda próchniejąca, spękana, kształtem przypominająca niegdyś dumne drzewo, uzbrojone w godność człowieczą, wyrwane z ziemi, pocięte przez czas, pokrzywione, niezrozumiałe dla mnie samej, obce i dalekie, z którego uszło wszystko co jest życiem, co ruchem i pięknem i szansa egzystencji w swoim własnym języku we własnej historii. Później stało się to, czego nie spodziewałam się po sobie.

Zaczadzona dymem nieustannym, rozpaczliwym, apatia dnia i nocy, nieruchoma nadzieja naszej barykady, patrzyłam na niego martwego, który mnie nie dotknął, i którego twardych młodych pleców i sprężynowych bioder nie zdążyłam zaznać. I zrobiłam straszna rzecz, okropna, ale musiałam to zrobić, moje nogi rozchylające się, jestem z krwi i kości, wołałeś we mnie potężnym milczeniem, pulsowałeś, życie, życie, twoje zimne ręce, nie mogło być inaczej widocznie, to przeznaczenie.

III.

Vorwärts.

Auf, marsch, marsch.

Strzały biczuja powietrze. Kilka krótkich serii. „Gut, gut, Erwin", nareszcie strzały, które rozwiązuja cała moja nadświadomość, to jedyne co mogliśmy zrobić. Verdamte Kerle. Godni nas przeciwnicy, będą w przyszłości godnymi sprzymierzeńcami.

Co za dziki ogień. Znów Erwina chwyciła goraczka. Der Knall aber, wie ein verrückter. Byłem już bezbronny przez te przeklete rozmyślania. Radość przenika mnie, radość walki, kiedy słysze to biczowanie powietrza, które się zbliża, tak, to jedyna rzecz, która mogliśmy jeszcze zrobić.

Deckung.

Tak, po prostu.

Auf, marsch, marsch.

M.G. terkocze po bruku, ścianach, oknach, gzymsach, szafach, workach, płytach.

Greif an.

Nie gubić celu z oczu. Słońce załamało się.

Hingekriegt.

Stellungswechsel.

Achtung! Dauerfeuer.

Strzały biczuja powietrze.

IV.

Nie zranisz powietrza. Nie wytresujesz powietrza. Naiwny. Cóż precyzja instrumentów, cóż stal Krupa, cóż ejakulacja karabinów maszynowych, rycerska kopulacja ze śmiercia.

Barykada wiednie.

Nie zemdleć, nie zemdleć, idę, bezwład mnie opanowuje, tańcza na bruku, doskakuja do ścian, dachy rozpłomieniaja się. Brama. Załom. Za rogiem. Błysk. Klocki zielone rozsypane w załomach za futrynami, drewniane, geometryczne. Bruk tryska sprężynami ognia, chwastem odłamków, znów wyskakuja, szatańskie pazury zdzieraja pasmami wszystko, raz, raz, raz, wyskakuja sprężyny, jeden, drugi, trzeci, zielone, zwinięte, maź, maź, twarz, dym, maź.

Nie zemdleć, nie zemdleć, nie moge zemdleć, cyngiel wiednie, łamie się, plastelina, goździk mój, zsunął się na czoło, co za błysk bieli, czyje to zęby białe, nachylone, zbliżaja się, cień, maź, spokój już, spokojnie, spo-koj-nie.

„Entschuldigen Sie, Fräulein".

V.

Jestem gdzieś nad morzem, na plaży złotej sypkiej, pustej bez kochanków, bez łodzi przybrzeżnych, w cichej muzyce snującej się wybrzeżem. Idę naga i zostawiam drobne ślady w piasku, które wypełnia chybotliwa woda, szklaca się, uśmiechnięta. Myślę o moim Adamie bez przerwy.

Krzykliwe, ruchome, kołujące mewy mówia coś do mnie, czego nie rozumiem. I zdaje mi się, że rozkazano mi przez całą wieczność chodzić nagiej wzdłuż brzegu morza, w wiecznym słońcu sierpnia dygocącym jak szkliste blachy, tam, gdzie granice się kończa, gdzie zaczyna się jedność ziemi i nieba, ognia i wody, spokoju i gniewu, milczenia i mowy, jedność wszystkich najsprzeczniejszych elementów, muzykalna, uwodząca graniem odwiecznym.

Nie umrę. Nie pójde do morza. Nie wejde tam. Kiedy się odwracam, widze na pagórku samotne drzewo, biała brzoze. Biegne do niej, dotykam reka jej delikatnej kory, gładze ja i wraca we mnie nadzieja. Ale brzoza jest nieruchoma. Zdzieram ostrymi paznokciami jej korę powiewna, rozszarpuje i gniote i rozrywam. I z brzozy zaczyna ciec waskim strumieniem krew i wtapia się w soczysta trawe.

„Więc żyjesz, Adamie, mężu, krew twoja to nieustanny, pogodny, ludzki, radosny znak naszego nieskończonego życia".

ANDRZEJ GRUN

Quo vadis awangardo czyli o puławskich mariażach

Byłaby niepomiernie zdziwiona pani Izabela Czartoryska, gdyby wiedziała co się w tych jej ukochanych Puławach dzieje. W tych jej wypieszczonych, sielskich Puławach, z których uczyniła ośrodek kultury, Arkadię szczęśliwą. Zjeżdżali się tam gremialnie, jak do Mekki, najświatlejsi ludzie owych czasów — naukowcy, politycy, poeci, artyści — aby wśród wspaniałych dzieł sztuki, w ciszy puławskich parków, wieść nieskończone dysputy. Ponieważ jednak pani Izabela była kobietą niezwykle, jak na swoją epokę wykształconą, mądrą i nowoczesną w tym najlepszym słowa tego znaczeniu, sądzić należy, iż patrzyłaby łaskawym okiem na dzisiejsze Puławy, tym bardziej, że stały się obiektem zainteresowania całej Polski. Bo właśnie tu buduje się największy ośrodek przemysłowy Lubelszczyzny — Azoty. Bo właśnie od Puław zaczęło się uprzemysłowienie tej, dotychczas rolniczej dzielnicy. Ale o Azotach pisano wiele a ja ani kompetencji do zabierania głosu w tej kwestii nie posiadam, ani też powtarzać rzeczy już raz powiedzianych nie mam zamiaru. Zresztą nie Azoty a raczej nie same tylko Zakłady Azotowe mają być tematem niniejszego artykułu. Chodzi mianowicie o sympozjum jakie zorganizowane zostało przy zgodnym współdziałaniu Wydziału Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie, Ministerstwa Kultury i Sztuki, Ministerstwa Przemysłu Chemicznego, Centralnej Rady Zw. Zawodowych, ZPAP i Dyrekcji Zakładów Azotowych w sierpniu br.

Na sympozjum zaproszeni zostali z jednej strony plastycy, z drugiej teoretycy i krytycy sztuki, naukowcy i technicy. Ogólnym celem spotkania było wprowadzenie twórców w problematykę „sztuka-technika", zapoznanie z aktualną sytuacją sztuki w obrębie współczesnej cywilizacji, z zależnościami wynikłymi z polaryzacji i interferencji elementów cywilizacji technicznej i poszczególnych orientacji i gatunków sztuki. Wygłoszonych zostało wiele referatów, codziennie, do późnej nocy toczyły się dyskusje. I tak Mieczysław Porębski mówił o przenoszeniu metod z różnych dziedzin nauki do badań nad sztuką, Czartoryska, Stanisławski i Ludwiński poinformowali o aktualnych tendencjach w sztuce, naukowcy, technicy, psycholodzy mówili o możliwościach polimeryzacji sztuki, nauki i techniki, o aktualnych tendencjach w nauce, o fizjologiczno-psychologicznym oddziaływaniu sztuki. Ponadto organizatorzy zamierzali w części praktycznej zapoznać twórców z nowymi materiałami, z przemysłowym pejzażem, z jego specyficzną i frapującą jednocześnie urodą. Ambicją ich było także sprowokowanie artystów plastyków do przeniesienia dyskusji z płaszczyzny teoretycznej na płaszczyznę praktyczną.

Ponieważ prace teoretyczne — referaty, głosy dyskusji — zostaną niebawem ogłoszone w osobnej publikacji i ponieważ skrępowani jesteśmy szczupłymi ramami niniejszego artykułu, ograniczę się do kilku luźnych uwag odnośnie części praktycznej sympozjum, a ściśle mówiąc wystawy posympozjonowej. Rozmiary jej — rzeczywiście imponujące, a pierwsze wrażenia — bardzo mocne. Można by rzec — „końska dawka" aktualnych propozycji krajowej awangardy. Jest tylko pewne „ale" Otóż ta końska dawka ma to do siebie, że działa co prawda bardzo mocno, ale... jednorazowo. Przy drugim, trzecim, czwartym oglądaniu wystawy, siła jej ekspresji maleje prawie do zera. Wystawione prace stają się dziwnie łagodne, pokornieją pod spojrzeniami, aby wreszcie zamienić się w poprawne i spokojne eksponaty, nieco zawstydzone hałasem jaki uczyniły przy pierwszym spotkaniu. Przyczyn, dla których wystawione rzeźby, formy przestrzenne, obrazy, kompozycje z gatunku l'art visuel czy wreszcie propozycje plastyczno-kreacyjne nie wytrzymują próby dłuższego kontaktu z widzem jest wiele. Może wpłynął na to krótki stosunkowo czas przeznaczony na ich realizacje, a może przyczyn należałoby szukać zupełnie gdzie indziej. Faktem jest jednak, że są one w swej przeważającej większości powierzchowne i nazbyt estetyczne, pozbawione głębszej myśli, tych podskórnych wartości, które stanowią o trwaniu dzieła.

Wykluczam z tych rozważań prace Ziemskiego czy Fedorowicza — typowe kompozycje optyczne, bardzo kulturalne zresztą i utrzymane ściśle w konwencjach stylu. Nie odwołują się one — zgodnie z regułami gry obowiązującymi w tej dyscyplinie — ani do wyobraźni widza, ani do jego intelektu, ani też nie mają ambicji pobudzenia emocjonalnego. Wyzbyte podtekstów, idei, wszelkiej symboliki i metafizyki są czystym iluzjonizmem. Nie interioryzują niczego, przeciwnie, działają tylko i wyłącznie na zmysły, odnajdują się w reakcjach fizjologiczno-psychologicznych. Są obiektywnie istniejącymi faktami, których oddziaływanie wykłada się prawami naukowymi. W tej sztuce, w której nie może być mowy ani o subiektywiźmie ani o indywidualiźmie — chyba, że dotyczyć on będzie materiałowych, czysto warsztatowych rozwiązań — nie ma też ani mistrzów ani naśladowców. Rygory są bardzo ścisłe. Podobieństwo rozwiązań w skali światowej ogromne. Stąd Ziemski, Fedorowicz, i inni nie mogą być uważani za nowatorów, a tym bardziej za naśladowców. Mieszczą się w ramach i basta. I nie do ich propozycji odnoszą się zarzuty, które mam zamiar ekspozycji puławskiej uczynić.

Oglądając wystawę odnosi się wrażenie, że przedstawiony nam został w miarę wyczerpujący katalog kierunków, mód i orientacji z ostatniego dziesiątka lat. Znajdziemy tu wszystko co „za górami, za lasami" modne, co zdobyło nagrody na najrozmaitszych festiwalach i w Wenecji, co narobiło z tego czy innego powodu zamieszania w artystycznym świecie czy artystyczno-snobistycznym światku. Wiele z tych „zasłyszanych pomysłów" przyjęte zostało i zaadaptowane w sposób zgoła bezkrytyczny i bez widocznego powodu. Źródeł tego rodzaju postępowania szukać należy w chęci utrzymania się w nurcie bieżących mód i propozycji, w chęci zadziwienia, zaszokowania (chyba nie najlepiej zorientowanego i wyrobionego odbiorcy zresztą), nawet za cenę rezygnacji z własnego „ja", z własnych, indywidualnych koncepcji. Być za wszelką cenę nowoczesnym! — oto hasło dnia. Tylko czy cena nie jest czasem za wysoka? Wydaje się, że w naszych warunkach pogoń za chwilowymi, doraźnymi sukcesami jest w równym stopniu nieuczciwa co nieopłacalna. W warunkach zachodnich, przy innej konstrukcji artystycznego rynku, tego rodzaju stanowisko wobec sztuki może się kalkulować przynajmniej w sensie finansowym. U nas nic nie ofiarowuje, poza krótkotrwałym co najwyżej aplauzem prasy, telewizji, radia i jakże kruchym złudzeniem o własnej wielkości i wątpliwej wartości nowatorstwie. A wszak nieuczciwość w stosunku do samego siebie jest największym grzechem artysty! Ale nie chcę być gołosłownym.

Andrzej Pawłowski, w kilka miesięcy po wystawie „Współczesnych tendencji w zbiorach holenderskich" pokazał obraz zatytułowany „Forma naturalnie ukształtowana", za który to obraz Enrico Castellani mógłby mu — gdyby takie zwyczaje wśród braci malarskiej istniały — wytoczyć proces o zwykły plagiat. Różnica między tymi dwoma obrazami polega na tym, że Castellani wystawił białe płótno, powypychane od tyłu kołkami symetrycznie, a Pawłowski wystawił srebrne i powypychane asymetrycznie. Poza tym Castellani sam to wymyślił a Pawłowski oglądał go najprawdopodobniej w warszawskiej Zachęcie i być może liczył na to, że zaimponuje tym wszystkim, którzy tej wystawy obejrzeć nie zdążyli.

Innym curiosum wystawy jest Borowski ze swoimi „miejscami" — „Pakamera" i „Plusem-minusem". „Sztuka happeningu" ma swoje racje bytu w pewnych, ściśle określonych warunkach. Zrozumiała w swej genezie i dysponująca wszelkimi możliwościami na gruncie zachodnim, u nas jest tworem sztucznym chociażby z tak prozaicznej przyczyny, jak brak odpowiednich środków realizacji. To tak, jakby ktoś chciał zastosować amerykański system wyborów, ze wszystkimi jemu właściwymi chwytami, u nas. Nie ten kraj, nie ten obyczaj — jak to się mówi. Krechowicz, który pierwszy bodajże podjął się realizacji założeń happeningu w swojej Galerii w Gdańsku, zmuszony był sprowadzić rzecz całą do ram teatru. Happening kryje w sobie zdradliwą pułapkę. Postuluje co prawda, iż twórczość jest tylko i wyłącznie aktem kreacyjnym, stawania się „czegoś czymś w czymś", jest wynalazczością par excellence, pomysłem, koncepcją, to jednak w płaszczyźnie inscenizacyjnej musi posługiwać się serwisem efektów bardzo pilnie wyreżyserowanych. Może stać się wielkim teatrem wizualnym, ale nigdy nie zmieści się w granicach scena — widownia. Borowski sięgnął po ten gatunek happeningu, który zajmuje się dowolnym „miejscem" i miejscu temu nadaje jakąś rangę, nazywa go, personifikuje poprzez celową organizację. Miejsce to staje się automatycznie introwersyjne w stosunku do otoczenia i do widza. Wciąga ono odbiorcę w rytm swojego działania w momencie, gdy przekroczy on ową tajemną granicę, zaczarowany krąg. Borowski nie miał możliwości realizacji i nie starczyło mu pomysłu. Tak w Puławach, jak w poprzednim swoim pokazie w galerii na Foksal w Warszawie. Poczynania jego przypominają strojenie się w „ciuchy cioci z Ameryki" — za duże i niemodne, ale za to z metką NOWOCZESNE, AWANGARDOWE. Tylko dla kogo?

Przykłady te, to nie jakieś wyjątki a pierwsze lepsze z brzegu. W sumie niewielka ilość prac oryginalnych i samodzielnych. Odnosi się to zresztą i do spraw warsztatowych. Jednym z istotniejszych momentów programu, było zapoznanie twórców z nowymi materiałami, przede wszystkim chemicznymi, z ich obróbką i z możliwościami adaptacji jako tworzywa artystycznego. Z tym zapoznawaniem się było różnie. Jedni w ogóle się do tego nie zabrali, pozostając przy warsztacie tradycyjnym, inni, jak Tarasin czy Teresa Rudowicz wykazali w swoich eksperymentach technicznych dużą dozę swoistego infantylizmu. Ale byli i tacy, którzy problem potraktowali na serio o czym dowodnie świadczyły ich prace, niejednokrotnie zresztą ciekawsze pod względem technologicznym niż plastycznym. Ale w tym wypadku to nie zarzut. Przeciwnie.

Na marginesie należy zaznaczyć, jako przejaw dosyć, moim skromnym zdaniem, dziwnej postawy niektórych twórców fakt, że wiele spośród wystawionych prac mogło powstać wszędzie: w zaciszu pracowni, nad morzem, w górach... Nie znać było w nich śladu teoretycznych dyskusji, a co więcej cienia inspiracji nowym tematem. Ich autorzy przeszli obok przemysłowego pejzażu, przemysłowej architektury obojętnie, nie zauważyli jej lub nie chcieli zauważyć. Odnosi się wrażenie, że przyjechali na sympozjum z gotowymi pomysłami, bardziej dbając o efekt końcowy, o prestiż własny, niż o korzyści jakie mogliby wynieść z prób i eksperymentów.

Nieco dziwnym wydało mi się uczestnictwo na tym bądź co bądź eksperymentalnym spotkaniu, poświęconym problemom sztuki dnia dzisiejszego i jutrzejszego naszych poczciwych postpostimpresjonistów (czy może postpostkapistów? — oj, te kłopoty z nomenklatura). Zestawienie ich malarstwa z op-artem, nowym realizmem, próbami kinetycznymi czy pop-artowskimi zakrawało na sadyzm i mogło budzić zrozumiałe zastrzeżenia.

Wątpliwości wzbudził także fakt ufundowania nagród. Wobec programu zakładającego z góry eksperyment i, propozycje, wobec dyskusyjności koncepcji teoretycznych i plastycznych, wobec często powtarzających się opinii o braku obiektywnych kryteriów oceny — stwarzanie tego rodzaju klasyfikacji wydaje się nie mieć racji bytu.

Pomijając jednak wszelkie minusy wystawy: brak samodzielności, zbędny i powierzchowny estetyzm przechodzący czasami w galanterię niemalże, brak głębszego zaangażowania et cetera, z którymi zresztą spotykamy się przy wielu innych okazjach, sam fakt odbycia się tego rodzaju imprezy należy uznać za istotne i pożyteczne wydarzenie w naszym życiu artystycznym. Epigoni i naśladowcy, amatorzy chwilowych laurów byli zawsze i będą — tym przejmować się zbytnio nie należy. Natomiast jestem pewien, że w Puławach znaleźli się twórcy, którzy potrafią wyciągnąć dla swojej sztuki korzyści z odbytych dyskusji, spotkań z nowymi problemami i nowym tematem, z dokonanych eksperymentów.

ANNA POGONOWSKA

Z PIOSENEK

Ptak frunie przez ołowie mgły
Kwiaty się palą jeszcze
Syczy barwami przestrzeń
Jesiennej ziemi

Wierzba przegięta w rzęsistych
Kroplach naga
Złotą liściastą blachę
Gdy uderzyć obcasem
Jak ciało się rozpada

* ★ *

gdyby to była strzała z kamienia
serce by stało się cięższe
gdyby to było ostrze z metalu
zajaśniałoby piękniej

a tak nie cięższe ani piękniejsze
ale wątlejsze i mniejsze
nie napełnione krwią która w żyły
coja się — niemy chór

* ★ *

Oślepiające mlecze wśród trawy
zasłońcie złote twarze
Wiosna się znowu darzy
oczywistością omamień

O blaski Feerie Chorągiew życia
pulsująca na wietrze
I moje tętno jeszcze
repetujące broń

Krystyna Liberska.

Pejzaż — olej.

Pół wieku biblioteki publicznej

Jeżeli Łódź dzisiejsza jest — mierząc jakąś skromną miarą — nasycona instytucjami kulturalnymi, to fakt ten ma swoje usprawiedliwienie w wielu czynnikach, z których polskość miasta oraz właściwa temu ustrojowi polityke kulturalna wymienić by należało na początku. Nie które z tych instytucji sięgają rodowodem w lata bardzo odległe, kiedy dwa te czynniki i kilkanaście innych tworzyły atmosfere dla polskiego życia kulturalnego nie życzliwa, kiedy na polska część miasta składali się głównie robotnicy fabryczni, nie wykształceni i słabi ekonomicznie. A przecież w warunkach ucisku politycznego ze strony wrogiej, zaborczej administracji i ucisku gospodarczego ze strony wrogich klasowo, narodowo i kulturalnie fabrykantów kiełkowały, wegetowały a następnie rozwijały się polskie instytucje kulturalne i żaden ucisk, żadne zarządzenia nie były w stanie zjawiska tego zmienić. W ten sposób na długo przed odzyskaniem niepodległości powstał teatr polski, polska prasa, polskie chóry i stowarzyszenia. Jak to się działo, że garstka polskiej inteligencji umiała w tak trudnych warunkach, na marginesie własnej pracy zawodowej tworzyć instytucje, którym starczyło potem rozmachu na lat dziesiątki?

W literaturze dotyczącej przeszłości Łodzi trudno znaleźć pozycje poświęcone temu frapującemu tematowi. Zajął się nim Witold Wieczorek w swojej pracy BIBLIOTEKA PUBLICZNA W ŁODZI 1917—1957 *).

Autor nie ograniczył się do opisu wymienionych w tytule 40 lat jej istnienia, ale sięgnął do momentu, kiedy ze szpalt „Rozwoju" padło pierwsze hasło powołania do życia tego rodzaju instytucji. Był to rok 1897. Zaledwie trzy lata wcześniej ustąpił z urzędu rusyfikator, gubernator Hurko, a dopiero po upływie dalszych siedmiu lat warunki polityczne miały się zmienić o tyle, by Towarzystwo Krzewienia Oświaty mogło przystąpić do tworzenia sieci własnych bibliotek, dopiero zaś w r. 1917 koniunktura polityczna pozwoliła na zrealizowanie długoletnich marzeń tych ludzi, którzy rozumieli znaczenie książki dla tego miasta.

Pisząc historię Biblioteki Publicznej, autor wprowadził na stronice swej książki cały szereg wybitnych działaczy społecznych, z których niewielu przeżyło niełatwe przecież lata dzielące nas od tamtych wydarzeń, o innych zapomniano, lub pamięć o nich została w paru nazwach ulic, które znamy, ale z którymi coraz mniej łączy się żywej treści. Okolicznością dla Wieczorka pomyślną był niewątpliwie fakt, że wiele szczegółów dotyczących opracowywanego przedmiotu mógł uzyskać wprost od człowieka przez całe to czterdziestolecie a nawet dłużej związanego z Biblioteką, będącego instytucji tej mózgiem i sercem, prof. Jana Augustyniaka. Był jej pierwszym i, przez długie lata, jedynym dyrektorem, twórca oryginalnej koncepcji sieci bibliotek miejskich, jałmużnikiem obijającym progi możnych i zbierającym pieniądze na książki, inicjatorem oparcia Biblioteki o fundusze miejskie, organizatorem akcji społecznej, której efektem jest gmach obecnie zajmowany przez Bibliotekę — i wreszcie kierownikiem zespołu, który w roku wyzwolenia stworzył Bibliotekę na nowo ze zwalonych bezładnie i pozbawionych wielu cennych pozycji stosów książek. Jan Augustyniak, który jeszcze parę lat temu kierował Biblioteką Publiczną, stanowił unikalny i chyba ostatni przykład dyrektora, zarządzającego instytucją, którą stworzył ab ovo.

Książka Witolda Wieczorka wiąże się tematycznie z rokiem Kongresu Kultury Polskiej i stanowi w tej chwili chyba jedyną monografię poświęconą łódzkiej instytucji kulturalnej, tak doniosłej, jak właśnie Biblioteka Publiczna.

JERZY URBANKIEWICZ

*) Wydana przez Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich, Warszawa 1965, str. 126.

TERESA WOJCIECHOWSKA

Obywatele, kochajcie syrenki!

Olsztyn, ulica na przedmieściu. Ulica mknie z niebywałą szybkością syrenka. W samochodzie dwaj młodzi mężczyźni prowadzą dziwny dialog:

Aleksander: Wiesz co, lepiej nie przekraczaj 120, bo wtedy tak dziwnie wibruje.

Marek: Coś ty? Syrenka ciągnie najwyżej 105.

Aleksander: Coś nie w porządku z silnikiem?

Marek: Bardzo nie w porządku. Za dobry.

Aleksander: A masz gaz do deski?

Marek: Żeby to. Ledwo dotknąłem. Pocisnę jeszcze.

Aleksander: Lepiej nie. Już masz do deski?

Marek: Jeszcze nie...

Aleksander: E... na pewno licznik nawalony.

Niepokojący dialog toczy się dalej. Rozmówcy nie wiedzą, że do ich syrenki... Ale tu realizatorzy proszą o niezdradzanie pointy. A my w ten sposób poznaliśmy już czworo bohaterów nowego filmu polskiego „Kochajmy syrenki": Aleksandra (Jacek Fedorowicz), Marka (Bohdan Łazuka) i dwie bliźniacze syrenki. Ekipa powróciła właśnie z licznych peregrynacji plenerowych do łódzkiego atelier, by tu dokończyć zdjęć. Film ma tak liczną obsadę i tak wiele watków, że podejmujemy się wymienić tylko dwa główne — jeden to właśnie przygody dwóch studentów, dysponujących syrenką, a drugi, to rywalizacja dwóch konkurencyjnych zespołów estradowych, wędrujących po Polsce i chałturzących w Olsztyńskiem. W licznej obsadzie filmu, w rolach głównych zobaczymy, obok już wymienionych: A. Sedzińską, Cz. Wołłejkę, J. Kłosińskiego, J. Nieżychowskiego, W. Rajewskiego, K. Chamca, A. Pawlikowskiego i wielu innych.

Po obejrzeniu paru scen na planie i przestudiowaniu scenopisu, postanowiłam przeprowadzić z realizatorami filmu rozmowę zasadniczą w celu uporządkowania dość zwichrowanych wrażeń. W tym celu udałam się do gabinetu kierownika produkcji filmu, gdzie odbyła się rozmowa, w której uczestniczyli: reżyser — Jan Rutkiewicz, autor scenariusza — Jacek Fedorowicz, kierownik produkcji — Marceli Nowak (operator Wacław Dybowski był prawie nieobecny).

W takich sytuacjach zwykle wypada zapytać reżysera o koncepcję filmu. Więc zapytałam.

Jan Rutkiewicz: Przede wszystkim chcę powiedzieć, że nie jest to komedia muzyczna, choć w filmie jest wiele muzyki.

Ja: ???

J. R.: No, po prostu nie jest to konwencja komedii muzycznej. W komedii muzycznej bohater zaczynający nagle śpiewać na ulicy, nie budzi niczyjego zdziwienia, wprost przeciwnie, inni zaczynają mu wtórować. W naszym filmie bohater śpiewający na ulicy zwraca powszechną uwagę, a przechodnie odwracając się za nim, pukają wymownie palcami w czoło.

Ja: Więc nie komedia muzyczna?

J. R.: Nie.

Ja: Sensacyjna?

J. R.: Nie.

Ja: Kryminalna?

J. R.: Nie.

Ja: Pod humor „Starszych Panów"?

J. R.: Nie.

Ja: Ale pod humor Fedorowicza?

Reżyser uśmiecha się, scenarzysta spuszcza skromnie wzrok.

Ja: To w końcu jaka?

J. R.: Ma być realistyczna, ma pokazywać realia 1966 r. Autentyczne są sytuacje, oczywiście z ukłonem w stronę komediowej deformacji. Autentyczne pozostawiliśmy nawet nazwy miejscowości. Olsztyn — to Olsztyn, tak samo Biskupiec, czy Mrągowo. Oczywiście, musieliśmy dopuścić się kilku drobnych fałszerstw. Na przykład w Olsztynie nie znaleźliśmy odpowiednio wytwornego hotelu, więc ujęcia hotelowe zrealizowaliśmy w Arturówku. Życzę, oczywiście, Olsztynowi takiego lokalu. Za to z hotelu w Olsztynie wzięliśmy autentyczny napis: „Po godzinie 18 obowiązuje strój miarowy".

Ja: A czy scena topienia się zespołu big-beatowego odbywała się na autentycznym jeziorze?

J. R.: Oczywiście, na jeziorze Krzywem.

Ja: Ofiar nie było?

Marceli Nowak: Były. Utopił się jeden saksofon. Szukało go cały wieczór czterech ratowników na głębokości 8 metrów. Ale znalazł dopiero następnego dnia gitarzysta, gdy ogłosiłem nagrodę pieniężną za wydobycie instrumentu.

Ja: A czy nie obawiają się panowie, że w tych miejscowościach obraża się na was tamtejsi mieszkańcy? Na przykład jakiś dyrektor w Mrągowie, czy inżynier w Biskupcu?

J. R.: Mamy nadzieję, że nie jeden jest tam dyrektor, i że żaden nie weźmie tego do siebie. Zresztą nasi aktorzy też czasem grają siebie. Na przykład Taifuny grają zespół big-beatowy, a Jacek Nieżychowski, pracownik Estrady szczecińskiej i kierownik zespołu młodzieżowego, gra ich bossa. I czyni to z całym poczuciem humoru.

M. N.: A dotychczas to się obraził na nas tylko jeden piekarz. W Biskupcu na bar mleczny zaadaptowaliśmy miejscową piekarnię. Zgodnie ze scenariuszem, turystka — Amerykanka polskiego pochodzenia, wychodzi z baru i mówi do męża: „Nie ma bułek, nie ma bułek! Co za cudowny kraj. Na każdym kroku przygoda!" Na to wybiega z piekarni piekarz i woła z rozpaczą: „Co pani opowiada! U mnie zawsze są bułki, pani mi popsuje opinię. Niech pani mówi, że nie ma kefiru!"

J. R.: Chciałbym jeszcze dodać, że nie zamierzamy robić filmu interwencyjnego. Nikogo nie potępiamy, nie ganimy, niczego nie naprawiamy. Pokazujemy śmiesznostki naszego życia, do których zresztą, jak i do śmiesznych ludzi, mamy sporo sentymentu.

Ja: A czy tym filmem chcieli panowie coś załatwić?

J. R.: Próbowaliśmy, ale się nie udało. Chcieliśmy zaangażować do filmu dyrektora poczty. Obaj ze scenarzystą nie mamy telefonu i myśleliśmy, że w ten sposób będziemy mieli protekcję. Ale się nie zgodził.

M. N.: Ale ja już kupiłem 10 gołębi pocztowych i za ich pomocą porozumiewam się z reżyserem.

Ja (do scenarzysty): Jak się pan czuje jako wykonawca roli ze swego scenariusza?

Jacek Fedorowicz: Staram się jak mogę, żeby być z siebie zadowolonym, ale uważam, że znacznie lepiej gra mój samochód, który — chociaż zwyczajna Octavia — grał limuzynę na parkingu, wraka w warsztacie i statystował. Ja staram się, żeby mnie było widać nawet tam, gdzie nie potrzeba. Pędząc na przykład na motocyklu (kamera z tyłu) odwracam głowę, żeby było widać, że to ja, a nie dubler. I w ogóle jedyny gram bez dublera.

Ja: To z upodobania do niebezpiecznych sytuacji?

J. F.: Nie, to leczenie się z kompleksu inteligenckiego.

Ja: To pana pierwszy scenariusz filmowy, czy myśli pan o następnym?

J. F.: Musiałbym na pół roku pójść do biura, albo do warsztatu samochodowego, żeby było coś z życia. Bo przecież ten scenariusz jest absolutnie z życia.

Ja: No, to nie ma przeszkód, żeby teraz napisał pan coś z telewizji?

J. F.: Otóż to!

Ja: Czy panowie chcieliby dodać coś zupełnie od siebie?

J. R. i J. F.: Tak. Że przed premierą, to w ogóle głupio coś mówić, bo jak się nie uda, to potem będzie wstyd. Więc niech pani nie pisze wcale, że to komedia. Może, że film rozrywkowy. Nie, to też za dużo. Najlepiej, że to po prostu film. Taki o aktorach, turystach i tak dalej.

Ja: Oczywiście, tak będzie najlepiej.

KRONIKA Antytelewizyjna

DYGRESJE

Ludzie lubią sygnał, nazwę, hasło, pod którymi kryją się treści co jakiś czas dające poczucie pewnej wspólnoty. Takim sygnałem dla wielu radiosłuchaczy jest kolejny odcinek „Matysiaków". Nie wdaję się tu w ich ocenę, której zresztą z różnych punktów widzenia dokonywano. Co przypuszczalnie bywało takim sygnałem dla telewidzów? Przynajmniej dla licznych ich grup. Przede wszystkim „Kobra". Dla innych kapitan Kloss, „Szklana niedziela", „Kabaret Starszych Panów". Czyli coś z dalszym ciągiem, jakąś znajomość abstrakcyjną a jednocześnie na swój sposób konkretną. Znajomość — do której ustosunkowujemy się negatywnie lub pozytywnie, jednak ustosunkowujemy się! Komunikaty meteorologiczne Wicherka i jego miłej Zastępczyni to jeszcze mało.

Mieszkając w Łodzi, trudno wiedzieć, nad czym zastanawiają się redaktorzy TV. Na razie jednak sytuacja wygląda na kryzysową w tym właśnie znaczeniu. Myślę, że jest to poważny problem programowy: potrzeba rozrywki cyklicznej, przyzwyczajającej do pewnego dnia w tygodniu, do pewnej godziny, podczas której można spotykać się z jakimiś znajomymi w coraz to innych ich sytuacjach, zaś w odstępach czasu, dzielących audycję od audycji, można o nich mówić, z nimi jak gdyby przebywać.

Niedawno w „Życiu Literackim" przeczytałem notatkę, która stała się bezpośrednim bodźcem dla tego felietonu. Oto ona in extenso:

„Telewizja angielska wspólnie z Metro Goldwyn Mayer na setną rocznicę urodzin Johna Galsworthy'ego przygotowuje ekranizację „Sagi rodu Forsyte'ów" ze 120-osobową obsadą aktorską. Całość składać się będzie z 26 pięćdziesięciominutowych odcinków. Projekcję uwzględniają także programy TV Kanady i USA".

Wygląda to na gigantyczne zamierzenie, podparte wielkimi środkami i możliwościami. Ale i u nas z powodu rocznicy sienkiewiczowskiej dyskutuje się nad możliwością realizacji Trylogii lub którejś z jej trzech części. Taka realizacja nie jest mrzonką, ostatecznie mamy za sobą znane filmy-giganty, których nie muszę wymieniać.

I wydaje mi się, że to właśnie TV mogłaby zastanowić się nad zrealizowaniem „Ogniem i mieczem" czy „Potopu" w odcinkach. O Trylogii wspominam przypadkowo, chodzi mi po prostu o to, że bez jakiejś dłuższej cyklicznej audycji programy TV będzie cechowała istotna skaza, świadcząca o nieliczeniu się z psychiką telewidzów, o lekceważeniu tej szczególnej więzi.

O Trylogii piszę więc przykładowo, gdyż jestem za stary wróbel na to, by występować z jakimś apodyktycznym zdaniem. Niestety, nie braknie u nas apodyktycznych wystąpień w sprawach jak najbardziej kontrowersyjnych. W tym samym, 761 numerze „Życia Literackiego" przeczytałem telewizyjny felieton pt. „Rzecz o humorze". Właśnie nacechowany apodyktycznością, pozbawioną jednocześnie jakiejkolwiek konsekwencji.

P. Ryszard Kosiński, snując rozważania na temat „Kabaretu Starszych Panów", pisze, ba, oświadcza z całą powagą, że humor przez kabaret reprezentowany jest „powszechnym poczuciem humoru trzydziestu milionów Polaków". No, proszę: ktoś o tym wie na pewno! Ktoś wie też na pewno, że Polacy z niemowlętami i dziećmi włącznie oglądali „Kabaret"!

P. Ryszard Kosiński w paru niefrasobliwych zdaniach odsądza od jakichkolwiek wartości inne odmiany humoru i satyry. P. Kosiński terroryzuje. W dalszym jednak akapicie stawia pytanie retoryczne, tzn. nie wymagające odpowiedzi: „Iluż mamy w Polsce takich majstrów od estrady, jak Przybora, Załucki, Kern, Gozdawa czy Stępień?"

Nie wiem, ilu, ale rozważania p. Kosińskiego odznaczają się absolutną niekonsekwencją. Czyżby zupełna nieznajomość przedmiotu? Bo przecież humor Przybory, najbliższy owym „trzydziestu milionom Polaków", zasadniczo różni się od humoru innych wy-

mienionych. A więc nieznajomość przedmiotu czy charakterystyczna skłonność do apodyktyczności i dunderowania? (Że też Redaktorzy zacnego „Żywocika" nie szukają tematów na łamach swego opiekuńczego pisma?).

A swoją drogą kiedyś TV poświęcała humorystom i satyrykom audycje w różnych formach inscenizując ich utwory. Może by i teraz wzbogaciło to „działalność rozrywkową" TV. Pod warunkiem, że uwzględniono by właśnie różne konwencje.

Nazbyt też rzadko mamy możność spotykać się z poetami, choć nie czeka na nich „trzydzieści milionów Polaków". Z różnymi poetami! Telewizja bowiem służy różnym upodobaniom, które w dodatku, często w sposób nieoczekiwany, mogą się przenikać. I powinny się przenikać, jednocześnie zaś szlachetnieć!

Jan Huszczik

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

„Pokaże piekło i niebo skonstruowane z elementów rzeczywistości, lecz w zwierciadle satyry i groteski. Pragnąłbym to osiągnąć nie stylem gry aktorów, lecz doborem sytuacji. Wymiar metafizyczny obu tych pojęć będę się starał sprowadzić do wymiaru materialistycznego: chciałbym bowiem pokazać niektóre polskie mity naszego dzieciństwa. (...) Sąd nad moimi bohaterami — oceniane będą nie tylko ich grzechy i czyny, lecz również marzenia." Oto fragmenty wypowiedzi Stanisława Różewicza, charakteryzujące jego najnowszy film „PIEKŁO I NIEBO".

Ukazanie marzenia obok rzeczywistości realnej, teraźniejszości obok retrospekcji; obecność wymiaru metafizycznego; szyderstwo, kpina z mitów; konstrukcyjny chwyt filmu w filmie i to w podwójnym znaczeniu: 1° — wyświetlania filmów przez postacie ekranowe, 2° — tworzenia filmu — w formie scenariusza (zamysłu) lub jego realizacji w atelier; forma zjadliwej komedii lubującej się w deformacji satyrycznej, a nawet groteskowej; wędrówki bohaterów przez piekło, niebo i czyściec będące bardzo, bardzo daleką filmową reperkusją „Boskiej komedii" — wszystko to przypomina głośny film Felliniego. Czyżby więc polskie „Osiem i pół"? Niestety, używając potocznego określenia — „Piekło i niebo" nie dorosło nawet do pięt wielkiemu dziełu Felliniego, z którego świadomie lub też bezwiednie czerpało inspirację. To raczej polskie „dziewięć", tzn. „trzy po trzy", zrobione z rozbrajającą nieudolnością. Film Różewicza jest straszliwie nudny i mimo obiecujących zapowiedzi reżysera, płytki i banalny. Jego dowcip nie grzeszy błyskotliwością, a sytuacje pomysłowością. Jest to troche tak jak z człowiekiem, który za grosz nie umie opowiadać kawałów, lecz za wszelką cenę stara się popisywać nimi w towarzystwie. Z konieczności słucha się go, czekając, żeby już wreszcie skończył. Różewicz nie ma swojego stylu opowiadania dowcipów i tworzenia komicznych sytuacji, przeto jego usiłowania idą w różnych kierunkach, naśladując absolutnie odmienne style komediowe. Zabrakło filmowi scalającej, jednolitej konwencji, zabrakło tempa i rozmachu, pomysłowości i fantazji. Jest za to niedobry dialog i zła organizacja fabuły. Jest zaledwie kilka udanych dowcipów słownych i gagów sytuacyjnych — jak na pełnometrażowy film, stanowczo za mało. Ponadto dzieło Różewicza nie stwarza żadnych możliwości aktorom — jedynie Kazimierz Opaliński w roli Dziadka mógł rozegrać się i popisać (troche w stylu Matysiaka, troche w kabaretowym: bywalca nocnych lokali z okresu monarchii austro-węgierskiej, troche wreszcie w stylu lirycznego staruszka-wesołka jak z „Kabaretu Starszych Panów"). Inni — z wyjątkiem Kiki (Irena Szczurowska), bogatej w odpowiednio eksponowane cielesne powaby — są po prostu nijacy. Nie mają jednak możliwości być innymi.

„Piekło i niebo" to komedia tragiczna. Tragizm jej tkwi w rozpaczliwym a bezowocnym dążeniu do zrobienia wreszcie polskiej komedii ekranowej. „Piekło i niebo" to tragedia komiczna — na zasadzie: ten pies jest aż piękny w swojej brzydocie. Film jest aż śmieszny w swym braku zabawności. Nastraja pesymistycznie: patrząc nań prędzej uwierzyć można w piekło i niebo niż w polską komedię.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Podwójnie atrakcyjny jest japoński film Kon Ichikawy „OLIMPIADA W TOKIO". Łączy w sobie dwa najbardziej popularne, pasjonujące szerokie rzesze widowiska: sport i kinematografię. Jedno i drugie naprawdę wysokiej klasy; że w sporcie — to zrozumiałe, tak być musiało, temat określony w tytule nie pozostawia cienia wątpliwości, że w filmie — szczęśliwie się złożyło. Jest to film dokumentalny, będący wyborem z olbrzymiego materiału. Projekcja wszystkiego, co podczas olimpiady tokijskiej nakręcił Kon Ichikawa, zajęłaby 70 godzin. Wersja dostępna na naszych ekranach trwa niewiele ponad 2 godziny. Ani przez chwilę nie czuje się jednak, że przekroczony został spotykany zazwyczaj czasowy limit filmu — 1,5 godziny. Sport olimpijski to widowisko przepiękne. Jeszcze raz przeżywa się tokijskie emocje skoków, biegów, rzutów, gimnastyki, konkurencji pływackich, judo, zapasów, siatkówki, hokeja na trawie i piłki nożnej. Najbardziej uprzywilejowany jest maraton — jemu twórcy poświęcają najwięcej czasu. Ukazywani są nie tylko zwycięzcy tego biegu, ale także ci, którzy odpadli w sportowej walce, którzy nie wytrzymali, wycofali się w trakcie konkurencji. Pokazane są triumfy i kryzysy, lecz nade wszystko niezmierny trud zawodników, napięcie psychiczne i wola, towarzyszące wysiłkowi fizycznemu, kierujące nim i widoczne dzięki niemu. Tak zresztą jest we wszystkich dyscyplinach. Do tej parady popisów, walki największych asów sportowych świata, film dodaje atrakcję niezwykłego sposobu oglądania tych zmagań. Żaden widz w Tokio nie mógł oglądać przebiegu zawodów w ten sposób, jak to czyniła kamera, która utrwalała wszystko na taśmie z niezwykłych czasem pozycji. Podjeżdżała często bliziutko, bliziuteńko, patrzyła z dołu — z podłogi, z góry, na ukos, prosto, ukazując napięte mięśnie, grymasy twarzy, nogi, stopy, nerwowe ręce. To znowu spoglądała z lotu ptaka na wąż kolarzy, na basen pływacki, na biegaczy maratonu. W ten sposób sportowa walka stała się jeszcze bardziej dramatyczna, jeszcze piękniejsza. Świetne są także zdjęcia zwolnione, analizujące dokładnie harmonię ruchów sportowców. Dzięki tym zabiegom, jak również ze względu na odpowiednie oświetlenie, kompozycję plastyczną kadru i staranny montaż, film nabrał walorów poetyckich. Jest w nim szlachetność czystej walki sportowej, jej dramatyczne napięcie. „Olimpiada w Tokio" to piękny hymn filmowy na cześć możliwości fizycznych człowieka.

MARIAREL

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

W OSIEMSETLECIE URODZIN AUTORA POEMATU PT. „WICIĄDZ W TYGRYSIEJ SKÓRZE"

■ Średniowieczna Gruzja osiągnęła swój najwyższy rozkwit polityczny, ekonomiczny, socjalny i kulturalny w wieku XII. Do naszych czasów mało przechowało się zabytków z tamtych czasów. Jednym z pomników literatury, jaki szczęśliwie przetrwał do naszych dni jest poemat pt. „Wiciadz w tygrysiej skórze". Jego autorem jest Szota Rustaweli. Nazwisko to (a właściwiej — Rustweli) znaczy po gruzińsku „władca rustawskiego zamku lub rustawskiej posiadłości". O autorze poematu wiemy ponadto niewiele. Uczonym udało się ustalić, że Szota Rustaweli był skarbnikiem państwa. W swym poemacie wysławił swą władczynię Tamar i jej męża Dawida. Te dane pozwoliły określić czas powstania poematu. „Wiciadza" napisał Rustaweli nie wcześniej jak w końcu osiemdziesiątych lat dwunastego wieku i nie później niż w pierwszym dziesięcioleciu XIII wieku.

Poemat „Wiciadz w tygrysiej skórze" wywarł ogromny wpływ na literaturę gruzińską. Autor, operujący po mistrzowsku słowem, wyraził w nim swój żarliwy patriotyzm, głębię myśli filozoficznej i humanizmu w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu. Zajmuje go przede wszystkim człowiek z jego bezpośredniością uczuć, przeżyciami, namiętnościami i dążeniami.

Obecnie w związku z obchodami we wrześniu osiemsetlecia urodzin autora „Wiciadza", poeci, uczeni, działacze kultury w ZSRR podjęli wiele prac dla uczczenia tej rocznicy. Organizuje się odczyty, wystawy, prelekcje o życiu wielkiego poety, jego poemacie i o dawnej kulturze Gruzji. Instytut Historii Gruzińskiej Literatury przygotował publikację pt. „Szota Rustaweli i gruziński folklor". Nakręcone zostały dwa filmy: popularno-naukowy pt. „Życie i działalność Szota Rustaweli" i artystyczno-dokumentalny pt. „Śladami Rustaweli".

„Wiciadz w tygrysiej skórze" wydany był w Związku Radzieckim 78 razy w 17 językach narodów ZSRR w nakładzie: milion trzysta sześćdziesiąt dwa egzemplarze. Poemat tłumaczony był w wielu krajach i ukazał się m. in. w językach: włoskim, węgierskim, hiszpańskim, rumuńskim, czeskim, polskim (u nas tłumaczył Igor Sikirycki), mongolskim, japońskim, chińskim, niemieckim, francuskim i angielskim.

W rocznicę obchodów urodzin wielkiego poety przygotowuje się w Związku Radzieckim nowe, jubileuszowe wydania „Wiciadza" oraz monografie o jego autorze, które ukażą się w językach: gruzińskim, rosyjskim, francuskim, hiszpańskim, angielskim i niemieckim. Będą także wydane dwa albumy ilustracji miniatur „Wiciadza w tygrysiej skórze". Ilustracje te pochodzą z wydań od XVI w. aż do naszych dni. Jednym z ilubileuszowych wydań w obcych językach poematu będzie francuski przekład Sergo Culadze. Tłumaczenie po raz pierwszy publikowane było w roku 1963 w Paryżu. Sergo Culadze otrzymał nagrodę Langlois Akademii Francuskiej. Obecny przekład ukaże się w graficznym opracowaniu gruzińskiego artysty Rewaza Tarchan-Mourawi.

Spośród licznych prac o życiu i twórczości poety ukaże się też publikacja pt. „Pisarze gruzińscy o Szota Rustaweli".

NĘDZA PISARZA

■ Ostatnio na Zachodzie wzrasta zainteresowanie twórczością Edgara Allana Poe. Wznowienia jego dzieł, nieraz z bardzo cennymi artystycznie ilustracjami, ukazują się na półkach księgarskich.

Edgar Allan Poe był niegdyś natchnieniem symbolistów. Jego zasady poetyckie, jego estetyczne poglądy odpowiadały założeniom symbolistów: sztuka dla sztuki.

Tragiczne losy życiowe amerykańskiego poety znalazły swe odbicie w jego pisarstwie.

Gdy miał lat 24 skarżył się: „Cierpię nędzę, najokropniejszą nędzę i nikt nie przychodzi mi z pomocą". Kiedy miał 32 lata narzekał: „Ciężko jest być biednym". Mając lat 40 mówił: „Muszę być bogatym, bogatym. Wtedy wszystko się ułoży. Do tego czasu oczywiście muszę znosić obelgi".

Edgar Allan Poe poeta, nowelista i krytyk urodził się w roku 1809 w Bostonie. Jego pisarstwo nie cieszyło się uznaniem w Ameryce. Dopiero potem w Europie stał się sławnym i uznanym. Charles Baudelaire, cenił jego wiersze, przekładał je i obficie czerpał z poetyckich doświadczeń amerykańskiego poety. Chwalił go Bernard Shaw, zachwycał się jego twórczością Dostojewski. Niezwykłe opowiadania Edgara Poe pobudziły wyobraźnię Jules Verne'a i pchnęły go do studiowania literatury naukowej.

Tematyka twórczości Poe zamyka się w dość specyficznym kręgu. Dominują tu smutek, zbrodnia, skrucha, obłąkanie, zaraza, rozpad i śmierć, katastrofy, kannibalizm, fascynacja złem, zainteresowanie się mesmeryzmem i hipnozą.

Wprowadziwszy do swych utworów Augusta Dupina, pierwszego detektywa w literaturze, Poe prowadzi nas do rozpadających się miast, walących się pałaców, przedstawia narkotyczne wizje, sny poalkoholiczne, kaleki, martwe dziewczęta, gadające mumie i apokaliptyczne zwierzęta. Czy próbował żartować, czy malował sceny groteskowo - makabryczne — zawsze pozostawał wizjonerem katastrofista.

Edgar Allan Poe

Bo też pełne katastrof było jego życie. Urodził się jako syn pary wędrownych aktorów. Gdy miał rok, rodzice rozeszli się, a on pozostał z matką. Gdy miał dwa lata umarła mu matka. Małego Edgara wziął na wychowanie kupiec z Richmond w stanie Wirginia, John Allan. Pięć lat z czasów swego dzieciństwa spędza Poe w Anglii. W roku 1826, a więc gdy ma już lat siedemnaście, wstępuje w Ameryce na uniwersytet. W rok potem, po kłótni z przybranym ojcem postanawia zrobić karierę wojskową. Już wtedy pije. W wojsku długo nie zagrzewa, wyrzucają go z armii za niewykonanie rozkazu. Podejmuje się różnych prac, idzie na państwowe posady, ale nigdzie nie wytrzymuje długo. Zewsząd wydalają go za pijaństwo. Publikuje swoje wiersze, początkowo własnym kosztem. W roku 1836 żeni się ze swą młodziutką kuzynką Virginia. W dziesięć lat później Virginia umiera na gruźlicę. Poeta załamuje się nerwowo i szuka ratunku w pijaństwie. W roku 1849, mając lat 40 postanawia porzucić nałóg, przysięga sobie, że nie weźmie alkoholu do ust. Staje się przez jakiś czas rzeczywiście abstynentem. W tym samym roku pewnego dnia wygłasza odczyt na temat zasad poezji. W kilka godzin później znajdują go ludzie na ulicy w Baltimore w cudzym ubraniu, w stanie delirium poalkoholowego. W kilka dni później umiera. Do końca życia pozostał biednym. Jego pierwszy biograf Rufus Griswold przedstawił poetę jako zwykłego pijaka o występnym życiu. Baudelaire zapoznawszy się z tą opinią powiedział oburzony pod adresem Griswolda: „Czyż w Ameryce nie ma policyjnego zakazu wpuszczania psów na cmentarz?"

„ARABESKA"

■ Grany obecnie w Paryżu film „Arabeska" zwrócił na siebie żywe zainteresowanie krytyki. Jest to podobno film, którego akcji streścić nie można. Bo nie na akcji ani na jej przebiegu zależało twórcy „Arabeski", którym jest Stanley Donen. Jest to film — jak podkreślają niemal wszyscy recenzenci — w którym niesłychanie zręcznie, a nawet po mistrzowsku zostały wyzyskane możliwości nowoczesnej sztuki kinematograficznej. Akcja, a jest ona tu tylko pretekstem, służy dla pokazania najoryginalniejszych ujęć i tricków filmowych. Uczony profesor odnalazł tajemniczy manuskrypt, hieroglif mający ważne znaczenie dla jednego z krajów arabskich (bliżej nieokreślonego). Rywalizacja (również bliżej nieokreślonych) sekt lokalnych, z których każda chce zdobyć ów manuskrypt stwarza w filmie okazję do przedstawienia pościgów przez ulice, muzea, pałace, autostrady, lotniska. Ujęcia tego dziwnego filmu fantastyczno-szpiegowskiego są jak najbardziej niesamowite i nieoczekiwane, np. strzelanine ogląda się przez akwarium, widzi się bohaterów filmu nie wprost, ale w odbiciach lustrzanych często deformujących postacie jak np. w lśniących deklach kół samochodowych. Sceny zmieniają się z nieprawdopodobną szybkością, gdy zaś jakaś sytuacja nabiera wreszcie klarowności, w moment później ogląda się scenę widzianą oczami człowieka upojonego alkoholem lub narkotykiem.

Plakat paryski reklamujący „Arabeskę".

Zofia Loren w tym niezwykłym filmie gra rolę wschodniej piękności o dość awanturniczych przygodach.

Wszystko razem, jak twierdzą krytycy, stwarza dla widza trudności w zorientowaniu się kto, kogo, po co szpieguje i ściga oraz w ogóle o co tu chodzi. W efekcie jednak film przez swe oryginalne, czasem niesamowite, zawsze zaskakujące ujęcia daje wiele interesujących wrażeń i przeżyć artystycznych.

NAJSŁYNNIEJSZA MODELKA ŚWIATA DEBIUTANTKĄ W FILMIE

■ Jean Shrimpton, popularnie nazywana Shrimp jest najsławniejszą i pobierającą najwyższe honoraria modelką na świecie. Dotąd ta nieruchoma i pełna uroku twarz zdobiła szpalty magazynów. Obecnie ożyje na ekranie. Sławna modelka jest teraz początkującą aktorką w filmie reżyserowanym przez Peter Watkinsa. Film będzie miał tytuł „Przywilej".

Jean Shrimpton w filmie Watkinsa.

POLONICA

JESZCZE RAZ O LECU

Interesująco i przyjemnie redagowany miesięcznik praski „Host do domu", zamieszcza w 7 tegorocznym numerze wspomnienie o Stanisławie Jerzym Lecu pt. „Lec je mrtev, ať žije Lec!" („Lec umarł, niech żyje Lec"). Autor artykułu, Oleg Sus, wypowiada się o aforyzmach Leca z najwyższym uznaniem, wróżąc im długi żywot czytelniczy. Artykuł przeplata autor przytaczaniem „myśli nieuczesanych" Leca, wśród których znajduje się również taka: „Godziny biją. Dla wszystkich".

NORWID W CZASOPISMIE „PLAMEN"

Miesięcznik praski „Plamen", organ Związku Pisarzy Czechosłowackich, przyniósł w numerze sierpniowym ciekawe polonica. Mianowicie: legendę Cypriana Norwida „Garstka piasku" oraz wiersz tegoż autora „Moja pieśń". Oby dwa teksty przełożył Jaroslav Janouch, który również poprzedził je krótką notką. Teksty zdobi rysunek, przedstawiający Norwida.

Dodajmy, że w tym samym numerze znajduje się felieton K. T. Toeplitza „Taktyka" i porcja „Myśli nieuczesanych" St. J. Leca. Można by rzec: prawdziwie polski numer „Plamen".

ARTYŚCI OPERY ŁÓDZKIEJ NA ZIEMI SMOLEŃSKIEJ

W obchodach Tysiąclecia Państwa Polskiego i 22 rocznicy Odrodzenia Polski na współpracującej z województwem łódzkim Ziemi Smoleńskiej wzięła udział grupa artystów Opery Łódzkiej, działających od szeregu lat przy Zarządzie Wojewódzkim Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej w Łodzi w zespole „Estrada Przyjaźni". W skład grupy wchodzili soliści opery — Krystyna Kurtis, Ewelina Kwaśniewska i Michał Marchut oraz pianista Łódzkiej Filharmonii Jerzy Nowak. Opiekę nad całością prac sprawował sekretarz Zarządu Wojewódzkiego TPP-R Władysław Strzelecki.

Artyści dali na Ziemi Smoleńskiej 8 koncertów. Pierwszy w czasie zorganizowanej dla uczczenia polskich rocznic historycznych uroczystej wojewódzkiej akademii w Smoleńsku z udziałem władz partyjnych i administracyjnych i blisko 1.000 uczestników.

Zasadnicze pozycje programu to — aria Stolnika z opery „Halka", pieśń Chorążego z opery „Hrabina" Moniuszki, aria Wani i aria Suzanina z opery „Iwan Suzanin" Glinki, „Ten, kto tęsknotę zna" Czajkowskiego, „Żal Matki" i „Mirt" Theodorakisa, „Śliczny Chłopiec" i „Hulanka" Szopena, Walc Coton z opery „Casanowa" Różyckiego, „Kazała mi mama" Nowowiejskiego, „Dziewczyno, dziewczyno" Niewiadomskiego, ario zo Toni z operetki „Biała akacja" Dunajewskiego. Duety — „Rósł pod lasem klon" Makarowa, piosenka liryczna z filmu „Poszukiwacze szczęścia" Dunajewskiego.

Ponadto na żądanie publiczności artyści śpiewali w wielu miejscowościach jako dodatkowe następujące pozycje — „Światła Moskwy" Zacepina, „Lecą liście" Niuchtilina, „Piosenka od serca" Muradellego, „Poczekam na ciebie" Ostrowskiego, „Cóż ja temu jestem winna" Zacharowa, "Daj dłoń towarzyszu daleki" Katza, „Towarzysz" — piosenka żołnierska, „Serce załogi" Krzemieńskiego, „Dolina Czerwonej Rzeki" Swatowskiego, „Krakowiaczek" Moniuszki, „Król Włóczęgów" Frimla, „Grenada" Lehara i inne.

PAWEŁ ŁYSEK W POLSCE

Ostatnio odwiedził Polskę uczony i pisarz Paweł Łysek, stale zamieszkały w Stanach Zjednoczonych. Urodzony w Jaworzynce na Śląsku Cieszyńskim zadebiutował w okresie przedwojennym wierszami i nowelami w „Zaraniu Śląskim". Po długiej tułaczce wojennej znalazł się na emigracji w Nowym Jorku. Tam rozwinął swój talent pisarski, rozpoczął także pracę naukową jako profesor Queens College. Dziś na dorobek literacki Pawła Łyska składają się dalsze nowele, wspomnienia i sztuki. Dwa tomy jego wspomnień: „Z Istebnej w świat" i „Przy granicy" były też recenzowane w Polsce. Z okazji pobytu w rodzinnych stronach wręczono prof. P. Łyskowi medal 1150-lecia Cieszyna.

Notatnik KULTURALNY

NIEDZIELA

Swój letni exodus teatry uzasadniają tym, że publiczność w upały i tak nie przychodzi, że woli czas spędzać na świeżym powietrzu niż w dusznych przegrzanych salach. To samo odkryli już starożytni Grecy i dlatego wyszli ze swym teatrem na otwartą przestrzeń. Zwyczaj ten zresztą przetrwał do dziś i wiele krajów, szczególnie tych o cieplejszym klimacie, uprawia sztukę teatralną na świeżym powietrzu. Opowiadał mi dyrektor Filharmonii Łódzkiej Stefan Marczyk, że Festiwal Teatralno-Muzyczny w Dubrowniku odbywa się niemal całkowicie w plenerze, sztuki grane są w naturalnych dekoracjach np. na rynku miasta, „Otello" wystawiany był w starej twierdzy.

W Łodzi, w pierwszych latach powojennych działał taki teatrzyk w ogrodzie, w samym centrum miasta, bodajże nazywał się „Osa" i cieszył się dużą frekwencją. Powodzenie imprez „Zielonego Festiwalu" świadczy o tym że łodzianie dziś tak że chętnie powitaliby teatr na otwartym powietrzu. Co dedykujemy łódzkim teatrom w głębokim przeświadczeniu, że w 1967 r. przyjdzie również lato.

PONIEDZIAŁEK

Mimo, że scena Teatru Wielkiego jeszcze nie gotowa, mimo że termin otwarcia jeszcze nie ustalony, w Operze Łódzkiej trwają gorączkowe przygotowania do 5 premier. Nic dziwnego, że 150-osobowy personel różnych pracowni ma ręce pełne roboty. Do każdej z premier przygotowuje się średnio około 400 kostiumów, do baletu „Pan Twardowski" — około 700. Większość kostiumów jest już gotowa.

WTOREK

Wydawnictwo Łódzkie przygotowuje sporo nowych pozycji. Dziś powiemy tylko o naukowych, które w chwili obecnej znajdują się w druku. Bardzo interesująco zapowiada się praca monograficzna „Włókniarze łódzcy". Jest to pierwsza tego typu w kraju monografia zawodu, traktująca go od strony historycznej, socjologicznej, ekonomicznej, demograficznej itd. Autorami są wybitni przedstawiciele łódzkiego środowiska naukowego. Książka ukaże się w sprzedaży w końcu bieżącego lub na początku przyszłego miesiąca. Następną pozycją naukową będzie praca B. Wachowskiej „Strajki okupacyjne w Łodzi". Temat obejmuje okres międzywojenny. I wreszcie ostatnia pozycja — „Zwierzenia archeologa" A. Nadolskiego. Książka odkrywa tajniki pracy archeologa, ukazując jednocześnie materiały dotyczące pradziejów regionu łódzkiego. Ta naukowa pozycja napisana jest w sposób bardzo popularny.

ŚRODA

Jak się nie ma na oryginały, to się kupuje reprodukcje. Mowa oczywiście o dziełach plastycznych. Reprodukcje coraz częściej zdobią wnętrza naszych mieszkań, wypierając bezwartościowe kicze. Początkowo popularyzowane przez Klub MPiK, dziś znajdują się w sprzedaży we wszystkich niemal księgarniach. Aby spopularyzować reprodukcję malarską jeszcze bardziej, Dom Książki zamierza zorganizować kiermasz, na którym zaprezentuje cały swój — podobno bogaty — wybór. Kryjący się pod dźwięcznym skrótem ZOWAG — Zakład Obrotu Wydawnictwami Artystyczno-Graficznymi przygotował kilkadziesiąt nowych — mówiąc językiem księgarskim — tytułów. Będą to w dalszym ciągu głównie klasycy malarstwa polskiego i obcego: Rodakowski, Gierymski, Wyspiański, Matejko, van Gogh, Cezanne, Degas, Picasso i in. Ceny reprodukcji wahają się od 40 do 500 zł. Kiermasz odbędzie się w drugiej połowie miesiąca.

CZWARTEK

Zakończyło się Międzynarodowe Seminarium Studentów - Esperantystów, które po raz pierwszy odbywało się w Łodzi. Uczestniczyło w nim 30 studentów z 9 krajów świata, ponad 30 z Polski i zaproszeni goście. Tematyka referatów była dość szeroka: Tysiąclecie Państwa Polskiego, dzieje Łodzi, historia polskiej książki, stosunki polsko-czeskie, esperanto — łacina i in. Wygłaszane były oczywiście w esperanto i w tym języku toczyła się dyskusja. Uczestnicy seminarium zwiedzili ciekawsze obiekty Łodzi.

PIĄTEK

Filharmonia Łódzka zainaugurowała sezon pięknym koncertem, który zgromadził cały świat kulturalny naszego miasta. Dyrekcja FL zapowiada, że wrzesień będzie jednym pasmem sensacji muzycznych, które w głównej mierze zawdzięczamy „Warszawskiej Jesieni", a także wydarzeniom natury dyplomatycznej. Po koncercie Artura Rubinsteina, 16 i 17 bm., wystąpi dyrygent irański Hechmat Sandjari, który przybywa do Polski w świcie szacha irańskiego. M. in. orkiestra wykona kompozycje dyrygenta „Obrazy irańskie". 20 i 21 bm. wystąpi Orkiestra Filharmonii Moskiewskiej z dwoma różnymi programami, z chórem, solistami oraz czołowym dyrygentem radzieckim Kirylem Kondraszynem. 25 bm. z „Pasją św. Łukasza" Pendereckiego, zawita do nas Orkiestra Filharmonii Krakowskiej pod dyrekcją Henryka Czyża, z chórami i solistami (Hiolski, Ładysz, Dorothy Dorow i Herdegen — recytacje).

Wobec takich sensacji artystycznych nie wypada nawet wspominać, że Filharmonia Łódzka rozpoczęła sezon w dalszym ciągu bez własnego zawodowego chóru, bez organów, w niezradiofonizowanej sali, nawet bez własnego magnetofonu.

SOBOTA

Powstał nam jeszcze jeden klub: Fen-Klub, czyli młodzieżowy klub entuzjastów muzyki młodzieżowej, a za swoją muzykę młodzież uważa rhytm and blues oraz big-beat, przy czym nasi entuzjaści wolą blues. Do klubu należy 20 młodych ludzi — studentów i uczniów. Pięciu z nich gra, stworzyli więc zespół muzyczny i za jego pośrednictwem mają zamiar realizować swe cele. To znaczy: popularyzować muzykę, którą lubią i zdobyć sławę. Sława jest im potrzebna do zdobycia 37 tysięcy złotych, a te z kolei do nabycia organów. Organy zaś są im potrzebne do lepszego popularyzowania muzyki. Są to jednak plany dalekosiężne, na razie Fen-entuzjaści cieszą się, że znaleźli opiekuna w postaci Łódzkiego Domu Kultury. Podobno wszyscy noszą krótkie włosy, nie jest jednak pewne, czy nie robią tego dla uśpienia czujności dyrekcji ŁDK.

T. WOŹ.

POLONICA

Kim są właściciele z LAS VEGAS

Palazzo di Cesare — czterdziesty wielki hotel w Las Vegas obchodzi uroczystość otwarcia. Zgłaszają się zaproszeni goście, żądają pokojów... Jeszcze niegotowe, zajęte przez tapicerów, dekoratorów, stolarzy. Znany aktor z Hollywood musi gdzie indziej szukać noclegu, w Pałacu Cezarów brakuje pościeli. Dla każdego innego hotelu, w każdym innym kraju, takie otwarcie równałoby się klęsce! Ale Jimmy Hoffa i jego towarzysze nie martwią się. Pałac Cezarów w ciągu paru tygodni stanie się kopalnią złota, taką jak Sands, Sahara czy inne hotele kasyna, które są sercem Las Vegas! Las Vegas — miasto zbudowane na brzegu najgorętszej z pustyń amerykańskiego kontynentu, odwiedza co roku przeszło 15 milionów turystów. Wszystkie miejsca w hotelach są zajęte, wielu turystów sypia w samochodach.

Powodzenie Las Vegas rośnie wraz z dobrobytem miasta. „Ludzie — wyjaśnia psycholog Sidney Saltzmann — przybywają do Las Vegas, by przynajmniej raz w roku zerwać z codziennością. Tu czcigodni ojcowie rodzin pozwalają sobie na czyny, których nie popełniliby nigdy w swym środowisku. Każdy, kto tu przybywa zostawia w domu wszelką odpowiedzialność i bawi się na całego!"

Las Vegas wykorzystuje bez skrupułów te inklinacje Amerykanów. 120 tysięcy mieszkańców miasta i 400-tysięczna ludność stanu Newada żyją z turystów. Stan Newada nie mógłby wyżywić swoich obywateli, gdyż zaledwie tysięczna część jego ziemi nadaje się pod uprawę. A jednak Newada ma najwyższy w Stanach Zjednoczonych dochód. Pieniądz toczy się tutaj z zawrotną szybkością. Nie znaczy to, że wszyscy w Newadzie są bogaci. Jakże wielu, ulegając gorączce hazardu, zostawia cały swój zarobek w rękach właścicieli domów gry.

Przyjeżdżają tu wdowy, które pochowały mężów w Kokomo czy w Tuscon, i tu, w Las Vegas, zostawiają cały swój spadek. Pociąg do hazardu, do gry w karty czy w kości, jest tak zakorzeniony, że nawet więzienie stanowe w Carson City ma własny dom gry. Więźniowie otrzymują w kantynie żetony do gry w pokera czy do punktowania koni wyścigowych. Z wszystkich torów amerykańskich dalekopisy przekazują do wiadomości więźniów wyniki gonitw. Dyrektor tego jedynego w swoim rodzaju kasyna gry, to John Clary — skazany na dożywocie za zamordowanie kochanki. Więźniowie inkasują wygrane z chwilą opuszczenia więzienia, przegrani będą pracować w więzieniu, dopóki nie spłacą zaciągniętego długu.

Dobrobyt zawdzięcza Newada swemu prawodawstwu, które nie broni hazardu. To prawo pozostało niezmienione od czasów, kiedy górnicy schodząc z gór Sierra z torbami pełnymi bryłek złota, wieczorami przegrywali tutaj cały swój zarobek. Harold i Harrap — dwa kasyna, już przed wojną, pretendowały do tytułu największych na świecie domów gry.

Las Vegas jeszcze w r. 1945 było senną wioską. Jej przemianę zapoczątkowali gangsterzy Bugsby Siegel z Brooklynu, Al Capone i Mayer Lansky. Siegel pierwszy zrozumiał, że aby ściągnąć turystów nie wystarczy tylko reklama. Trzeba im oferować możliwość wspaniałych urlopów. Flamingo Hotel, otwarty w grudniu 1946 roku, był pierwszym w Las Vegas hotelem-kasynem, który pod jednym dachem mieścił luksus hotelu, teatr-variete, pływalnię, pola golfowe i sale gry, o drzwiach stale otwartych. Bugsby zginął zamordowany, ale hotel kierowany ręką mafii prosperuje dalej, przynosząc właścicielom milionowe zyski.

Dziś jeszcze mafia trzyma w ręku, kontroluje i ciągnie poważne dochody z wszystkich przedsiębiorstw w Las Vegas. Oprócz znanych gangsterów, takich jak Moe Dalitz, Rudy Kolod czy bracia Levinson, oficjalnymi właścicielami luksusowych hoteli, są wielcy szefowie Cosa Nostra. Sam Giancano, czy Tony Accardo mają poważne udziały w kasynach gry. Sam Lansky bawiąc na Florydzie, otrzymywał co miesiąc swoje pobory, przywożone mu przez kuriera.

W 1959 r. została powołana do życia specjalna komisja do spraw regulaminu gry. Jak dotąd jedyną ofiarą jej działalności był Frank Sinatra, oskarżony o przyjęcie w swoim domu gry w Lake Tahoe w 1965 r. słynnego Sama Giancana, szefa mafii z Chicago.

Hotele Las Vegas oferują swoim gościom wszystko, czego tylko mogą zapragnąć! Rozwiązanie architektoniczne hoteli jest tak pomyślane, że gdziekolwiek idąc trzeba zawsze przejść przez kasyno. Panuje tu wrzawa trudna do opisania — dźwięk żetonów miesza się z nawoływaniami krupierów. Podnieceni gracze — mężczyźni i kobiety — cisną się do stołów. Kelnerki w strojach bardzo ulgowych roznoszą na tacach bułeczki i whisky, rozdawane grającym, którzy ani na chwilę nie mogą opuścić bezpłatnie zielonego stołu. Aby gracze nie orientowali się w upływie czasu, nie ma tutaj zegarów, ani okien.

Bilans hoteli przeczy wszelkim prawom ekonomii. Za luksusowe pokoje płaci się parę dolarów dziennie, posiłki są półdarmowe, darmowe są napoje, a oglądanie spektakli z udziałem najsławniejszych aktorów, nie kosztuje więcej niż kieliszek whisky! Bo klient powinien jak najdłużej pozostać tutaj, jak najczęściej wchodzić do kasyna. Przy stole zostawi na pewno znacznie więcej, niż to co pozwolono mu zaoszczędzić w hotelu.

A jeśli ktoś ma naprawdę szczęście i wygrywa... O! Wtedy staje się przedmiotem szczególnej opieki. Dyrekcja hotelu, nie podnosząc ceny, daje mu luksusowy apartament z widokiem na pływalnię, motorówkę na jeziorze Mead, a jeśli jest samotny ułatwi mu spotkanie pięknej dziewczyny, o niepohamowanej żądzy gry w ruletkę. Trzeba uczynić wszystko, aby grający wyrzucił na stół to co wygrał... Tych, którzy wyjeżdżają stąd bogatsi, niż kiedy tu przybyli, jest bardzo niewielu. Jeśli szczęściarza otacza opieka, to pechowiec nie znajduje litości. Ci co przegrali, muszą natychmiast opuścić nie tylko hotel, ale i Newadę.

Każdego roku 30 osób popełnia samobójstwo — sto innych dotkniętych obłędem — pozostaje w Cortea, w szpitalu dla psychicznie chorych. Kilka lat temu pewien starszy człowiek dostał przy zielonym stole ataku serca. Upadł na ziemię. Jego sąsiad, lekarz z Los Angeles, pośpieszył mu na ratunek. W kwadrans później dotknięty atakiem serca umarł, ale obecność konającego nie przeszkodziła grającym — dwa czy trzy razy rzucona z siłą kość odbiła się o plecy lekarza, pochylonego nad konającym.

Ten dziwny świat przyciąga bandytów, przestępców, zbrodniarzy. W Las Vegas, które liczy mniej niż 150 tysięcy mieszkańców, notuje się rocznie 25 tysięcy zbrodni.

Las Vegas jest brzydkim miastem. Przecinają je dwie większe ulice, po których przechadza się zamroczony alkoholem i narkotykami tłum. Barok Miami albo Rococo Rand — tak architekci nazywają styl budynków hotelowych i innych budowli miejskich.

„Każdemu narodowi potrzebny jest wentyl bezpieczeństwa dla jego ukrytych wad — powiedział pewien amerykański senator. — Newada, wyspa zamknięta pustynią i górskim łańcuchem, jest najlepszym miejscem, jakie mogliśmy znaleźć..."

(M. TYM.)

Z cyklu: PORTRETY

Rys. Wacław Kondek

Lewym okiem

CZERWONA KONICZYNKA I KSR

Słowo — czy to żywe, czy pisane lub utrwalone w jakikolwiek sposób — wcale nie jest jedynym środkiem przekazywania informacji. Możemy się porozumiewać bez słów na setki tysięcy sposobów. Pochylenie głowy i odpowiedni gest ramienia rozumiemy jako: proszę wejść! Uniesienie brwi znaczy: nic z tego nie rozumiem! Trójkącik na drzwiach to już wiemy: wejście dla panów. Zielone światło nad ulicą: teraz przechodźcie! Trąbka namalowana na okrągłej tarczy i przekreślona kreską: nie naciskaj klaksonu. Kieliszek na skrzyni — ostrożnie szkło!

Możliwości takich porozumiewawczych sygnałów są wręcz nieograniczone. Wszystko, każda rzecz i czynność i zjawisko może być przekazem informacji, jeśli tak się umówimy. Każdy taki przekaz jest przy tym — jak widzicie — łatwo wymienialny na słowo. Każdy bez wyjątku. Natomiast nie każde słowo, to znaczy nie każda myśl, da się zastąpić gestem, obrazem, symbolem, a jeśli się nawet da — to należy zawsze przedtem pouczyć wszystkich o sposobie odszyfrowania treści, w takim symbolu zawartej. Na pewno nie do wszystkich mieszkańców kraju dotarła znajomość sensu choćby owego trójkąta na drzwiach — dla tych, do których nie dotarła, trójkąt taki nic nie oznacza. A tymczasem symbole mnożą się lawinowo, z szybkością ponaddźwiękową. Mają zastępować informacje słowne, być ich tłumaczeniem na język bardziej zwięzły, streszczony do minimum, a wyrazisty: zamiast tego stają się często nic nie znaczącym kleksem. Nie nadążamy z przyswajaniem sobie informacji słownych, streszczamy je — i nie nadążamy z rozumieniem streszczeń.

Umówiono się, że czerwony listek koniczyny będzie oznaczał niebezpieczeństwo promieniowania, szkodliwe dla zdrowia i życia. Coraz to giną jakieś izotopy i urany, prasa błaga złodzieja o przyznanie się, złodziej podłubał, postukał zwędzonym przedmiotem o kant pieca i wyrzucił, a promieniowanie po cichu swoje robi. Może czerwona koniczyna odstraszy pp. złodziei?

Nie odstraszy. W kilku już pismach czytaliśmy o doświadczeniu przeprowadzonym przez warszawskich dziennikarzy, którzy sporządzili mały pakuneczek i opatrzyli go czerwoną koniczynką. Pakuneczek przyjmowali szatniarze w lokalach, przechowalnia bagażu na dworcu, patrzyły na niego bez drgnienia powiek tysiące oczu w tramwajach i na ulicy. Po prostu — nikt nie wie, co taki czerwony listek oznacza. Nie znamy umowy, która nadała mu ostrzegawczy sens.

W Skarżysku, w pewnych zakładach przemysłowych, przeprowadzono podobną próbę: zapytano kilkadziesiąt osób, co oznaczają litery KSR. Tylko jeden z zapytanych wiedział, że to skrót od nazwy najwyższej instancji w społecznym zarządzaniu tymże zakładem — Konferencja Samorządu Robotniczego. Robotnicy nie znają symbolu organu swojej własnej władzy nad zakładem! Zalewa ich — tak jak nas wszystkich — potop informacji, nie są w stanie — tak jak my wszyscy — uczyć się na raz tylu symboli i skrótów, które przecież pomyślano jako udogodnienie, ucieczkę przed potopem, zamianę potopu na deszcz maleńkich kropelek. Jak się z tym wszystkim uporać? Nie wiemy. Stoimy przed jeszcze jednym paradoksem gwałtownego postępu i coraz szybszego procesu komplikowania się rzeczywistości: przez wielorakie środki masowego przekazu (mass media) walą się na nas miliony informacji, których nasza kora mózgowa już nie absorbuje. Nawet tych najniezbędniejszych, które czynią nas gospodarzami wielkiego wspólnego pracowiska, nawet tych, od których zależy nasze życie.

ĆWIEK.

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 2376 IX 66. E-2